

**KATHERINE PARKER**

**NA KOGO WYPADNIE**

Przełożyła Anna Zbikowicka

## LILLY I AMY

Widziałas? - szepnęła Lilly do ucha swojej towarzyszki, szturchając ją w bok tak mocno, że ta aż podskoczyła.

- Co miałam widzieć? - Amy nie odrywała wzroku od torby, z której od kilku minut, to znaczy od chwili, kiedy zajęły miejsca w autobusie Greyhunda, wyjmowała różne rzeczy: książkę o zniszczonych okładkach, dużą pękatą kosmetyczkę, drugą - nieco mniejszą - i trzecią całkiem malutką paczkę herbatników, dwie puszeki Mountain Dew, jeszcze jedną paczkę herbatników, płytę Alicii Keys.

- Ciii. Nie musisz się wydzierać na cały autobus.

Amy niewzruszenie wyciągała na wierzch kolejne przedmioty. Lilly nie mogła się nadziwić, że w jej patchworkowej torbie może się tyle pomieścić - że w ogóle w jakiegokolwiek torbie może się tyle zmieścić.

Amy tymczasem wyjęła jeszcze dwie paczki herbatników i olbrzymie opakowanie czekoladek z masłem orzechowym. Wreszcie namacała coś na samym dnie torby.

- Jest - powiedziała i odetchnęła z ulgą.

- Uważaj! - ostrzegła ją Lilly. Za późno; autobus zahamował przed światłami i rzeczy, które przyjaciółka wydobyla wcześniej z czeluści torby, zsunęły się z jej kolan i spadły na podłogę.

Po chwili dziewczętom udało się pozbierać wszystkie drobiazgi i Amy zaczęła je wsadzać z powrotem.

- Co to jest? - rzuciła Lilly podając jej opakowanie czekoladek.

- Nie widzisz?

- Widzę. Niestety, widzę. Czekoladki z masłem orzechowym!

- No to co się głupio pytasz?

- Amy, obiecałyśmy sobie, że będziemy się odchudzać. Nie pamiętasz?

- Pewnie, że pamiętam. Oczywiście, że będziemy się odchudzać - oświadczyła Amy z przekonaniem w głosie. - To przecież tylko jedno opakowanie czekoladek.

- Największe, jakie można kupić. - Lilly spojrzała na nią z przyganą.

Ona jednak zupełnie się tym nie przejęła.

- Chcesz jedną? - spytała.

- Przestań. - Lilly, widząc, że przyjaciółka zabiera się za otwieranie pudełka, wyrwała je Amy z ręki i wsadziła do torby.

- No, jak chcesz. - Rozczarowana Amy wzruszyła ramionami i zaczęła się rozglądać, jakby czegoś szukała. - Miałam dwie puszki Mountain Dew, a jest tylko jedna.

Sprawdziła na siedzeniach, schyliła się i popatrzyła na dół, wreszcie przykucnęła na podłodze i zajrzała pod fotele. Zajmowała miejsce koło okna, ruchy miała, więc dosyć ograniczone.

- Poczekaj, ja się rozejrzę - zaproponowała Lilly, która mogła się swobodniej poruszać.

Przechyliła się przez oparcie i spojrzała na przejście, ale nie zobaczyła nic poza kilkoma parami stóp pasażerów. - Musiała się gdzieś potoczyć.

- Trudno, jakoś sobie poradzimy.

- Pewnie. Mam dwie puszki coli i wodę.

Amy odłożyła torbę i obie usadowiły się wygodnie. Kiedy po chwili jednocześnie popatrzyły w okno, zobaczyły, że autobus wyjechał już z miasta i kieruje się w stronę Gór Kaskadowych.

Lilly zamyśliła się. Nigdy nie opuszczała Seattle na tak długo. Dwa tygodnie to był jej dotychczasowy rekord. Teraz wyjeżdżała na miesiąc i wcale tego nie żałowała. Zastanawiała się, czy w ogóle będzie miała ochotę wracać, i to nie rodzinne miasto wzbudzało w niej taką niechęć. Nie, Seattle uważała za najwspanialsze miejsce na świecie; nie zamieniłaby go na żadne inne. To dom był od jakiegoś czasu nie do zniesienia, a właściwie nie dom, tylko to, co się w nim działo.

Głos przyjaciółki wyrwał ją z zamyślenia. Lilly spojrzała na nią trochę nieprzytomnym wzrokiem.

- Co takiego miałam zobaczyć? - powtórzyła Amy. - Co? - zdziwiła się Lilly.

- Kilka minut temu pytałaś, czy coś widziałam. Dobrą chwilę trwało, zanim Lilly skojarzyła, o co jej chodzi. - Aha... Pytałam, czy widziałas tych dwóch chłopaków.

Amy, która w przeciwieństwie do przyjaciółki wcale nie była zadowolona z wyjazdu z Seattle - o czym świadczyła jej niezbyt szczęśliwa mina - nagle się rozpogodziła. - Jakich chłopaków? - spytała, rozglądając się ciekawie. Wysokie oparcia siedzeń przesłaniały jej jednak cały widok, tak, że jedynymi pasażerami, jakich widziała, była tylko niemłoda już para siedząca po drugiej stronie przejścia. Niezrażona, przechyliła się nad fotelem Lilly, próbując dostrzec kogoś jeszcze, i właśnie w tym momencie wyrosła nad nią jakaś postać.

- Czy to przypadkiem nie wasze? - spytał nieznajomy chłopak, unosząc puszkę Mountain Dew. Był wysoki, o jasnych, jakby spłowiałych na słońcu włosach i szarzielonych oczach, otoczonych rzęsami tak długimi, że Amy zastanawiała się, jaka to okropna

niesprawiedliwość, że chłopakowi dostały się takie rzęsy, podczas gdy jej - dziewczynie! - przypadły takie, że gdyby nie tusz, w ogóle nie byłoby ich widać. Rozważania na ten temat zajęły jej chyba trochę za dużo czasu, zwłaszcza, że prawie leżąc na kolanach Lilly, patrzyła przy tym w oczy nieznajomego.

- Tak, nasze - rzuciła speszona i podniosła się szybko. - Właśnie szukałam tej puszki - dodała, próbując się wytłumaczyć ze swojej dziwacznej pozycji. - Gdzie ją znalazłeś?

- Wpadła mi pod nogi. Musiała się przetoczyć pod siedzeniami - powiedział, podając jej napój.

- Dzięki.

- Nie ma, za co - odparł i zanim odszedł na tył autobusu, Amy odważyła się jeszcze raz popatrzeć na jego oczy.

- No to już wiesz, jakich chłopaków - powiedziała Lilly cicho, odczekawszy chwilę, by mieć pewność, że nieznajomy jej nie usłyszy.

- Widziałam tylko jednego.

- Gdybyś nie grzebała w tej swojej torbie i nie szukała nie wiadomo, czego, to zobaczyłabyś również tego drugiego.

- Mnie wystarczyłby ten jeden - wyznała Amy szeptem. - Widziałas, jakie miał długie rzęsy?

- Nie, ja nie zwracam uwagi na takie szczegóły.

- Szczegóły! - prychnęła Amy i już miała ochotę wygłosić wykład na temat tego, że życie składa się właśnie ze szczegółów, ale ciekawość wzięła górę nad chęcią pouczenia przyjaciółki. - A jaki był ten drugi?

- Bo ja wiem? Jest chyba brunetem. - Lilly zmarszczyła czoło, próbując sobie przypomnieć.

- Tylko tyle? - rzuciła zniecierpliwiona Amy.

- Widziałam ich przez chwilę. Weszli do autobusu w ostatniej chwili i szybko przeszli do tyłu.

- Ale przecież z jakiegoś powodu zwróciłaś na nich uwagę.

Lilly wzruszyła ramionami, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- No, co w nich było takiego? - nie dawała jej spokoju przyjaciółka.

- Nic. Naprawdę nic. Byli obaj dosyć przystojni... to wszystko.

- I ty uważasz, że to mało?

Lilly znów wzruszyła ramionami, a Amy na chwilę zapomniała o szarzielonych oczach chłopaka, który przyniósł jej Mountain Dew, i zaczęła się zastanawiać, jakie może

mieć ten drugi, ten brunet - jeśli rzeczywiście był brunetem, bo знаła przyjaciółkę na tyle, by wiedzieć, że w sprawach takich „szczegółów” absolutnie nie można na niej polegać.

Puszczając wodze fantazji, sięgnęła do torby, wyjęła pudełko czekoladek i je otworzyła.

- Ty, oczywiście, nie będziesz jadła - powiedziała, kiedy Lilly spojrzała na nią z udawaną wyższością.

- Oczywiście, że nie.

- Twoja strata - rzuciła Amy, wsadzając sobie pralinę do ust. Nie rozgryzała jej; czekała, aż czekoladowa polewa sama się rozpuści, a kiedy poczuła smak nadzienia z masłem orzechowym, zachwycona, przewróciła oczami.

- No więc ten drugi to brunet z piwnymi oczami - odezwała się nagle Lilly. - Może kilka centymetrów niższy od tego, co przyniósł puszkę, ale też wysoki.

- No, no, no! Aż tyle szczegółów udało ci się zapamiętać? - spytała Amy, sięgając po następną pralinę.

- Dasz mi jedną czy mam sobie wziąć sama?

- Naprawdę chcesz w siebie pakować te bomby kaloryczne? Jesteś pewna, że tego chcesz?

- Jasne - odparła Lilly. - Obiecywałyśmy sobie, że będziemy się odchudzać w górach, ale przecież jeszcze tam nie dojechaliśmy.

Amy obróciła głowę i spojrzała przez okno.

- Nie chcę cię martwić, ale chyba musimy się pospieszyć. - Lilly przechyliła się nad nią i także wyjrzała na zewnątrz. W oddali majaczyły zarysy Gór Kaskadowych.

## TIM I ZACH

Na dworzec dotarli kwadrans przed odjazdem autobusu, którym mieli jechać do Leavenworth. Akurat tyle czasu potrzebowali, żeby kupić bilety i znaleźć właściwe stanowisko. Autobus ruszył chwilę po tym, jak wsiedli, jeszcze zanim zdążyli zająć miejsca. - Widziałeś te dwie? - spytał Zach beztroskim tonem. Jego towarzysz nie usłyszał pytania; kładł plecak na siedzeniu po drugiej stronie przejścia. Przyszli do autobusu, kiedy luki bagażowe były już zamknięte, kierowca kazał im, więc wejść do środka z bagażami. Tim usiadł, odgarnął z twarzy kilka kosmyków włosów i przetarł wierzchem dłoni spocone czoło.

- Ufff! Ledwie zdążyliśmy.

- Co znaczy „ledwie”? - obruszył się Zach. - Przyjechaliśmy w samą porę. - przyjechaliśmy?! Ładnie powiedziane. Jeśli dobrze pamiętam, to ostatnie dwa kilometry zasuwaliśmy pieszo.

- Nie było tak źle - rzucił Zach, lekceważąco machając ręką.

- No pewnie, mogło być znacznie gorzej. - Tim uśmiechnął się z sarkazmem. - Mogliśmy się rozkraczyć tym twoim gratem nie w Seattle, a w górach. Ładnie byśmy wyglądali, gdybyśmy utknęli na jakimś odludziu. A właśnie tak by się stało, gdybyś postawił na swoim. Miesiąc temu postanowili wybrać się razem w Góry Kaskadowe i wziąć udział w projekcie organizowanym przez uniwersytet w Seattle. Tim zawsze interesował się ochroną przyrody i kiedy na tablicy ogłoszeniowej w swoim liceum zobaczył ulotkę informującą że uczniowie starszych klas są zaproszeni do przyłączenia się w czasie wakacji do tego projektu, od razu nabrał ochoty.

Zachowi pomysł na początku bardzo się nie podobał, zwłaszcza, kiedy się dowiedział, o co dokładnie chodzi. Siedzenie na odludziu i badanie jakichś tam populacji ptaków? Nie, to nie dla niego. Z trudem odróżniał wróbla od kanarka, a poza tym kusiło go coś innego. Surfing!

To lubił najbardziej i tak właśnie chciał spędzić tegoroczne wakacje - surfując na falach oceanu... No i jeszcze opalone dziewczyny w kostiumach kąpielowych.

Cóż, kiedy Tim się uparł. Przekonywał przyjaciela, że udział w takiej imprezie - organizowanej przez uniwersytet - na pewno ułatwi im dostanie się na studia. Zach, chcąc nie chcąc, musiał przyznać mu rację. Wiedział, że władze uczelni przy rekrutacji przywiązują dużą wagę do tego typu spraw, czasem nawet większą niż do ocen na świadectwie, a on poza tym, że grał w szkolnej drużynie bejsbolowej, nie miał się, jak dotąd, czym pochwalić. W

dodatku, kiedy uświadomił sobie, że z jego ocenami też mogłoby być lepiej, uznał, że powinien jednak posłuchać przyjaciela i wyjechać z nim na miesiąc w Góry Kaskadowe, żeby badać jakieś populacje wróbli, wron czy Innych papug.

Chciał jednak koniecznie wybrać się tam swoim samochodem, ale Tim zaprotestował. Po ich ostatniej wycieczce do Oregonu, kiedy musieli holować samochód, stracił zaufanie do starego mustanga przyjaciela i dopóty wiercił Zachowi dziurę w brzuch, dopóki ten nie zgodził się pojechać autobusem.

Dziś samochód nie dowiózł ich nawet na dworzec autobusowy. Jakies dwa kilometry przed dotarciem do celu, kiedy stali na światłach, mustang kilka razy prychnął, po czym zgasł i mimo wielokrotnych prób uruchomienia, Me wydał z siebie najłżejszego nawet dźwięku. Chłopcy porządnie się napocili, żeby usunąć go ze skrzyżowania i dopchać na miejsce, w którym mógł przez miesiąc czekać, aż jego właściciel wróci do Seattle. Potem, dźwigając ciężkie plecaki, musieli pędzić na dworzec, żeby nie spóźnić się na autobus. Zach przyznał w duchu, że przyjaciel miał rację, wołał jednak nie mówić tego głośno, zmienił, więc temat. - Widziałeś je? - zapytał. - Kogo? - Te dwie dziewczyny, które siedzą kilka rzędów przed nami. - Nie widziałem żadnych dziewczyn. - Ty to nigdy nic nie widzisz.

- Trudno, żeby coś widział, skoro pot zalewał mi oczy - odparował Tim. - Twoja strata. Były niezłe.

- Napiłbym się czegoś - powiedział Tim i właśnie w tym momencie, jakby jakaś dobra wróżka usłyszała to życzenie, na jego stopach zatrzymała się puszka, która wytoczyła się spod siedzenia przed nimi. Schylił się i podniósł ją. - Mountain Dew. I do tego zimne. - No to, na co czekasz? Pij - zachęcił go przyjaciel. - Coś ty! Musiało komuś upaść. - Tim wychylił się z siedzenia i popatrzył na przejście.

Trzy rzędy przed nimi poruszyła się jakaś jasna głowa, a po chwili zobaczył twarz dziewczyny, która wyraźnie czegoś szukała. Nie zastanawiając się dłużej, wstał i ruszył przejściem w jej stronę.

- Czy to przypadkiem nie wasze? - bąknął, patrząc w dół.

Dziewczyna była jakoś dziwnie powykręcana. Siedziała na fotelu przy oknie i trzymając tułów na kolanach swojej towarzyszki, unosiła głowę. Twarz miała ładną, ale przemknęło mu przez myśl, że może jest chora albo niepełnosprawna. Dopiero, kiedy po chwili usiadła w normalnej pozycji, przekonał się, że wszystko z nią jest w porządku.

Oddał jej puszkę. Podziękowała mu i zanim odszedł, popatrzył jeszcze na tę drugą. Była równie ładna, o kasztanowych włosach i drobnej twarzy w kształcie serca. Chyba za długo zatrzymał na niej wzrok. Kiedy to sobie uzmysłowił, natychmiast odszedł i usiadł na

swoim miejscu.

- I co? - zagadnął go Tim. - Oddałem puszkę.

- Nie o to pytam. Pytam o te dziewczyny. Widziałeś je?

- Tak. To właśnie im wypadła ta puszka - odparł Zach. - I jak?

- Ładne.

Tim westchnął żałośnie.

- I, co z tego - powiedział po chwili. - Na pewno wyślą w następnym mieście. Takie dziewczyny nie wyjeżdżają na wakacje tam gdzie diabeł mówi dobranoc. Takie dziewczyny spędzają wakacje na plaży nad oceanem.

Kiedy autobus zatrzymał się na przystanku przy głównej ulicy w Leavenworth, zapadł już zmrok, mimo to oczom dziewcząt ukazał się zapierający dech widok. Miasteczko, ze swoimi drewnianymi domami o stromych dachach, wyglądało jakby je tu ktoś przeniósł z Europy.

Lilly, której babcia ze strony matki pochodziła z Niemiec, widywała podobną architekturę na starych fotografiach z jej albumu.

Amy wskazała kierowcy autobusu swój plecak w luku bagażowym, po czym się rozejrzała.

- Jak tu pięknie - zwróciła się do przyjaciółki. - Jak w bajce.

- Jak w Bawarii - sprostowała Lilly.

- Gdzie?

- W Bawarii, w Niemczech. Moja babcia stamtąd pochodzi.

Kierowca wyjął bagaże dziewcząt oraz kilku innych pasażerów, którzy też wysiadali, i autobus odjechał.

- Podoba mi się tu - powiedziała Amy. - Całkiem miłe miejsce na spędzenie wakacji. - Tylko że my nie będziemy ich spędzać tutaj - przypomniała jej Lilly. - To obozowisko leży gdzieś w górach, ponad trzydzieści kilometrów od Leavenworth. - Ktoś miał na nas tu czekać, prawda?

Lilly skinęła głową i znów zaczęła się rozglądać, tym razem już nie po to, by podziwiać malownicze miasteczko, lecz żeby wypatrzeć kogoś, kto zawiezie je na miejsce. Po chodniku na drugiej stronie ulicy spacerowało kilka osób wyglądających na turystów. Przyjrzała się parkującym w pobliżu samochodom, ale w żadnym z nich nikt nie siedział. Kilkoro pasażerów, którzy wysiedli razem z nimi, zdążyło już zniknąć. Na przystanku były tylko one i dwóch chłopców. Dopiero teraz zwróciła na nich uwagę i od razu rozpoznała, że to ci dwaj, którzy w Seattle w ostatniej chwili wpadli do autobusu. Musieli wysiąść, kiedy



Lilly i Amy były zajęte odbieraniem swoich plecaków. - Nikogo nie widzę - powiedziała.

- To co robimy? - spytała zaniepokojona Amy.

- Nie mam zielonego pojęcia. Chyba musimy czekać.

## TIM I ZACH

Być może dało znać o sobie zmęczenie wywołane pchaniem samochodu i biegiem na dworzec, a może z powodu różnicy ciśnienia, w każdym razie, kiedy tylko wjechali w Góry Kaskadowe, obaj zasnęli.

Tim przebudził się nagle i poczuł trochę dziwnie, jakby mu czegoś brakowało. Zlekceważył jednak to wrażenie i postanowił spać dalej. Po chwili jednak przypomniał sobie, że jest w autobusie, i uświadomił sobie, że to, czego mu brakuje, to kołysanie i dźwięk silnika. Zaniepokojony, przetarł oczy, przechylił się nad śpiącym kolegą i wyjrzał przez okno. Natychmiast zorientował się, że są w Leavenworth. W dzieciństwie przyjeżdżał tu zimą z rodzicami na narty. Od tego czasu minęło ładne parę lat, mimo to rozpoznał charakterystyczną alpejską architekturę.

- Zach, zbudź się! - zawołał przyjacielowi do ucha. - Jesteśmy na miejscu. Wsiadamy.

Zach zerwał się na równe nogi. Chwycili plecaki i pospieszyli do wyjścia. I tak jak w Seattle ledwie zdążyli wsiąść do autobusu, tak tutaj ledwie zdążyli z niego wysiąść. Kiedy znaleźli się na zewnątrz, kierowca właśnie zamykał luk bagażowy, a po chwili odjechał. Tim rozejrzał się. Leavenworth latem wyglądało zupełnie inaczej niż w zimowej scenerii. Jego przyjaciela natomiast zupełnie nie interesowało malownicze miasteczko. Uwagę Zacha przyciągnęło coś zupełnie innego.

Śłuchaj, czy to przypadkiem nie te dwie? - zapytał. - Jakie dwie?

- No te, którym zanosieś Mountain Dew. - Zach wykonał dyskretny ruch głową, wskazując na stojące nieopodal dziewczyny.

- Tak, to chyba one.

Zach od wyjazdu z Seattle nie był w najlepszym humorze. Martwił się o swojego mustanga.

Po pierwsze, nie był pewien, czy miejsce, w którym go zostawili, jest bezpieczne, po drugie, niepokoił się, czy po powrocie uda mu się go naprawić. Teraz jednak zapomniał o tych troskach. Twarz mu się rozpogodziła.

- Fajnie, że przyjechały tu z nami - powiedział, uśmiechając się.

- Tylko, że my tu nie zostajemy - przypomniał mu Tim.

- Ty to potrafisz człowieka pocieszyć. A, właśnie, gdzie są ci, co mieli na nas czekać?

- Skąd mam wiedzieć?

- Jesteś pewien, że wysiedliśmy z autobusu tam, gdzie powinniśmy?

- Jasne, że jestem. Może przyjechaliśmy przed czasem? - pomyślał głośno Tim i popatrzył na zegarek. - Nie - powiedział, kręcąc głową. - Jest wpół do dziewiątej, a autobus miał przyjechać piętnaście po ósmej.

- Gdybyśmy jechali moim samochodem, nie bylibyśmy zdani na czyjąś łaskę.

- Akurat. Wtedy dopiero bylibyśmy zdani na łaskę. Sterczelibyśmy w szczerym polu, modląc się, żeby ktoś się zlitował i zatrzymał.

- Jaka to różnica, czy w szczerym polu, czy tutaj? - Zach ucieszył się, że wreszcie może udowodnić Timowi, że jego pomysły też nie zawsze są najlepsze. - Chociaż nie - dodał po chwili. - Jest różnica. Duża różnica. Tu mamy przynajmniej towarzystwo. - Popatrzył na dziewczyny, które rozglądały się nerwowo, jakby kogoś wypatrywały. - Słuchaj - zwrócił się do przyjaciela - a może je też ktoś miał odebrać i się nie zjawił?

- Może - rzucił Tim, nie przyznając się, że właśnie pomyślał o tym samym.

- To spytajmy je - zaproponował Zach i zanim przyjaciel zdążył zareagować, ruszył w kierunku dziewcząt.

Tim nie ruszył się z miejsca. Patrzył tylko za Zachem. Zawsze zazdrościł mu swobody nawiązywania kontaktów z dziewczynami.

## LILLY, AMY, TIM I ZACH

Dochodziło wpół do jedenastej. Główna ulica zdążyła opustoszeć. Tylko od czasu do czasu przejeżdżał jakiś samochód i za każdym razem wszyscy czworo wierzyli, że to właśnie ten, który ma ich zabrać.

Minęły prawie dwie godziny od chwili, gdy znaleźli się w Leavenworth, i Lilly dziękowała Bogu, że nie są tu same. Z chłopcami czuły się różnie. Zwłaszcza Zach, który okazał się niezwykle dowcipny, dbał o to, by nie podupadali na duchu - choć szczerze mówiąc, na początku wydał jej się trochę zbyt bezpośredni.

Podszedł do niej i Amy i zapytał, czy nie czekają na kogoś, kto ma je zawieźć do obozowiska w górach. Wyraził to nieco inaczej. Zapytał, czy przypadkiem nie są takimi samymi kretynkami jak on i jego kolega, którzy mają badać w dzikiej gęszy populacje - czy coś w tym rodzaju - jakichś wróbli czy innych dziobaków.

Lilly w pierwszej chwili nie wiedziała, o co chodzi, ale jej przyjaciółka natychmiast przytaknęła, a wtedy Zach machnął ręką do swojego kolegi i zawołał:

- Byłeś już kiedyś w Leavenworth? - spytała, gdy Amy i Zach zniknęli w drzwiach pizzerii.

- Tak, dawno temu - odparł.

Była lekko zirytowana. Nie oczekiwała, że sam rozpocznie konwersację, ale mógł przecież podchwycić temat, który ona rozpoczęła. Mógł powiedzieć, kiedy tu był, z kim, mógł ją zapytać, czy ona jest tu po raz pierwszy, mógł... mógł... Ona z pewnością by coś wymyśliła, żeby podtrzymać rozmowę.

Odetchnęła z ulgą, widząc Amy i Zacha wychodzących z Pizza Hut.

Kiedy jedli swoje porcje, humor jeszcze im dopisywał, ale już kilka minut później wyraźnie zmarkotnieli. Nawet Zach, który wcześniej traktował całą sytuację jak okazję do świetnej zabawy, teraz w ogóle przestał się odzywać.

Od dobrego kwadransa główną ulicą nie przejechał żaden samochód, a na dodatek zrobiło się jeszcze zimniej. Dziewczęta doszły do wniosku, że przy tej temperaturze bluzy, jakie miały na sobie, to za mało.

Lilly jeszcze dwa tygodnie wcześniej, gdy dostała od koordynatora projektu e - mail ze wskazówkami dotyczącymi wyjazdu w Góry Kaskadowe, nie rozumiała, dlaczego pisał o zabraniu ze sobą ciepłych kurtek w środku lata. Teraz już się temu nie dziwiła i cieszyła się, że sama skorzystała z tej rady i namówiła do tego przyjaciółkę.

- Chyba włożę kurtkę - zwróciła się do niej.

- A wiesz, że ja chyba też.

Właśnie zaczęły otwierać plecaki, kiedy usłyszały warkot silnika. Wszyscy spojrzeli w stronę, z której dochodził.

Cała czwórka w milczeniu wpatrywała się w odległe reflektory, jakby siłą samego wzroku mogła zmusić zbliżający się pojazd, żeby się zatrzymał i zawiózł ich na miejsce. I rzeczywiście, wyglądało na to, że samochód uległ ich niemej perswazji.

Kilkadziesiąt metrów przed przystankiem zaczął zwalniać.

- To na pewno po nas - odezwała się Amy.

- Mam nadzieję, że jednak nie po nas - powiedzą! Zach.

Lilly spojrzała na niego, nie kryjąc irytacji. To czekanie przestało ją już bawić. Jednak kiedy samochód się zatrzymał kilka metrów od nich, zrozumiała, o co Zachowi chodziło.

Drzwi od strony kierowcy otworzyły się i wysiadł młody mężczyzna w policyjnym mundurze.

- Co tu robicie o tej porze? - zapytał, patrząc na nich podejrzliwie.

Wszyscy czworo zaczęli odpowiadać jednocześnie. Najgłośniejszy był Zach, więc policjant uniósł rękę, dając pozostałej trójce znak, żeby się uciszeli, i tym razem zadał pytanie już tylko jemu.

- Mówisz, że ktoś miał was stąd odebrać, ale zostawił was na lodzie. Kto?

Zach jakby trochę stracił odwagę i odpowiedział już nieco ciszej:

- No... no ci od ciapudraków.

- Od ciapu... ciapu... co?

- No, ci od wróbli, wron i różnych takich.

Lilly, słysząc te bzdury, wystraszyła się, że jeśli zaraz się nie wtrąci, to mężczyzna uzna ich za ćpunów albo kogoś w tym rodzaju i spędzą tę noc w policyjnym areszcie.

Nie zdążyła jednak nic powiedzieć, bo Tim spiorunował przyjaciela wzrokiem, tak, że tamten zamknął usta, a sam zbliżył się o dwa kroki do policjanta i zaczął mu wszystko rzeczowo wyjaśniać.

Musiał wprowadzić powtarzać dwa razy, ale policjant w końcu zrozumiał, w czym rzecz.

- No dobra - powiedział. - Tylko, co ja mam teraz z wami zrobić? - Zmarszczył czoło. Był bardzo młody. Widać było, że pracuje w policji od niedawna i ma niewielkie doświadczenie.

Sprawił wrażenie, jakby miał do czynienia z największym problemem w swojej

dotychczasowej karierze. - Wiesz, gdzie jest to obozowisko? - spytał Tima.

- Jakieś trzydzieści kilometrów od Leavenworth - odparł chłopak. - To wszystko, co wiem.

- To trochę mało. Nie powiedzieli wam nic więcej? Nie dali żadnych wskazówek, jak tam dojechać?

- Po co mieli dawać? Przecież mieli nas stąd odebrać. Tak było ustalone. Wiedzieli, kiedy przyjedziemy. Naprawdę nie rozumiem, co się mogło stać, że nikt się tu po nas nie zjawił.

- Może pokręciliście daty? - zasugerował policjant.

Lilly wpadła już na to jakąś godzinę temu, ale doszła do wniosku, że to niemożliwe, by jednocześnie pomyliła się i ona, i Tim - bo, jak się dowiedziała, to on, a nie Zach, kontaktował się z koordynatorem programu. Nie wspomniała, więc nawet pozostałej trójce o swoich wątpliwościach.

- Nie, nie mogliśmy pomylić - wtrąciła się do rozmowy. - Jestem tego pewna.

Policjant pokręcił głową.

- Nie ma wyjścia - powiedział, wciąż marszcząc czoło - Muszę zadzwonić do szeryfa i poradzić się, co z wami zrobić. Wsiadł do samochodu i zaczął rozmawiać przez radiotelefon. Drzwi były zamknięte, nie słyszeli więc, co mówi.

- Jak myślicie, co z nami zrobią? - spytała cicho Amy. Wyglądała na przestraszoną.

- Nie bój się - uspokoiła ją przyjaciółka. - Nie zrobią nam nic złego.

Może pozwolą nam się gdzieś przespać, a rano się coś wymyśli - mruknął Tim. - Może w biurze szeryfa. Chyba mają jakieś takie miejsce...

- Pewnie, że mają - przerwał mu Zach i się roześmiał. - W każdym mieście jest coś takiego jak areszt. Nie wiem tylko, czy w takiej dziurze jak ta mają w areszcie aż cztery prycze.

Amy i Lilly popatrzyły na niego skrzywione. Żadna z nich w tej chwili nie miała ochoty na żarty.

Kiedy młody policjant wysiadł z samochodu, czoło znów miał gładkie jak pupę niemowlaka, a na ustach uśmiech.

- Załatwione - rzucił.

- Jednak mają cztery prycze. - Zach albo wcześniej nie zauważył min dziewcząt, albo się tym nie przejął, w każdym razie nie stracił ochoty na dowcipkowanie.

- Ha, ha, ha - powiedziały jednocześnie.

- Szeryf zjawi się tu za pięć minut i zawiezie was do obozowiska.

- A on wie, jak tam dojechać? - spytała Lilly. Była już zmęczona. Marzyła, żeby się położyć i wyspać, więc zanim zacznie się cieszyć, wołała się upewnić, że to naprawdę już koniec ich kłopotów.

- Szeryf wie wszystko - oświadczył młody policjant poważnym tonem i popatrzył na nią tak, jakby, zadając to pytanie, strzeliła jakąś straszną gafę.

Szeryf podjechał na przystanek dokładnie po pięciu minutach.

- Wskakujcie! - zawołał, otwierając drzwi terenowej toyoty. - Bagaże wrzućcie na tył.

Człowiek nawet w nocy nie ma chwili spokoju - narzekał, gdy wsiadali, Zach z przodu obok niego, a pozostała trójka na tylne siedzenie. Uśmiechał się jednak przyjaźnie. Jego pełna twarz wzbudzała zaufanie. Wyglądał właśnie tak, jak powinien wyglądać szeryf w małym miasteczku.

Kiedy ruszyli, wypytał ich o wszystko i tym razem Tim nie dał przyjacielowi szansy, żeby się odezwał.

- To dziwne, że nikt po was nie przyjechał - rzekł szeryf, wysłuchawszy go. - To przecież poważni ludzie.

- Zna pan tam kogoś? - spytała Lilly, pochylając się w stronę przedniego siedzenia. - Szefową profesor Hatcher. Od dwóch lat prowadzi tu badania.

Zmęczenie Lilly gdzieś się ulotniło. Zastąpiło je podniecenie. Była bardzo ciekawa, jak będzie tam na miejscu; dotychczas takie obozy badawcze widywała tylko w telewizji, na filmach przyrodniczych. Najpóźniej za pół godziny będą wiedziała, pomyślała, gdy mijali ostatni drewniany dom przy głównej ulicy Leavenworth.

Kiedy jednak po paru kilometrach skręcili w boczną drogę, która po kilku minutach jazdy zwęziła się i wyglądała jak leśna przecinka, okazało się, że dotarcie do celu zajmie im znacznie więcej czasu. Dróżka, nie dość, że była wąska, tak że gałęzie drzew miejscami smagały samochód, to na zmianę albo pięła się pod górę, albo stromo opadała w dół. - Chyba byłoby szybciej, gdybyśmy szli pieszo - powiedział Zach.

- Pewnie tak - przyznał szeryf. - Trudno o bardziej niedostępne miejsce niż to, które wybrali sobie na obozowisko.

- Wiedziałem, że trafię gdzieś na odludzie, ale nie przypuszczałem, że aż takie. - Nie marudź - zwrócił mu uwagę Tim.

- Czy ja marudzę? Mnie się tu bardzo podoba. - Zach odwrócił głowę i uśmiechnął się do Lilly i Amy. - Fajnie jest, prawda, dziewczyny?

W ciemnym wnętrzu samochodu nie było widać dokładnie rysów jego twarzy, ale jednego nie sposób było nie dostrzec, że ma rozbijający uśmiech. Tak rozbijający, że obie

skieły głowami.

- Pewnie, że fajnie - przytaknęła entuzjastycznie Lilly.

- Fantastycznie - zgodziła się z nią Amy.

- A tam co się dzieje? - odezwał się nagle szeryf.

Na drodze, na szczycie wzniesienia, na które samochód piął się pod kątem niemal czterdziestu pięciu stopni, stał pojazd zagradzający drogę. Widać było tylko reflektory i jakichś ludzi.

Szeryf zahamował, zgasił silnik i zaciągnął ręczny hamulec.

- Poczekajcie tu na mnie - polecił, wychodząc z samochodu. Przesłaniając oczy, ruszył pod górę.

Lilly poczuła, że przyjaciółka nerwowo zaciska palce na jej dłoni. Wcale jej się nie dziwiła; sama też czuła się nieswojo. Po raz pierwszy w życiu była na takim pustkowiu, i to jeszcze w samym środku nocy.

Żadna z nich się nie odezwała, ale siedzący obok Lilly Tim musiał wyczuć ich niepokój.

- Spokojnie - powiedział, kładąc rękę na jej ramieniu. - Nie ma się, czym denerwować.

Lilly poczuła się bezpiecznie. Nie wiedziała tylko, czy dlatego, że wytłumaczyła sobie racjonalnie, że w towarzystwie szeryfa Leavenworth nic im nie grozi, czy za sprawą dłoni Tima. I, szczerze mówiąc, wołała tego nie roztrząsać.

Szeryf tymczasem wszedł już na szczyt wzniesienia. Do wnętrza toyoty docierały jakieś głosy, pojedyncze słowa, ale trudno było się domyślić ich sensu.

- Pójdę zobaczyć, co się tam dzieje - powiedział Zach, kładąc rękę na klamce.

- Szeryf kazał nam czekać tutaj - próbowała go powstrzymać Amy. Wciąż trzymała przyjaciółkę za rękę i Lilly czuła, jak drżą jej palce.

- A tam! - rzucił Zach. - Będę się przejmował gadaniem jakiegoś szeryfa!

Otworzył drzwi, ale zanim zdążył postawić jedną nogę na ziemi, Tim odezwał się cichym, ale zdecydowanym głosem:

- Wracaj.

Zach bez słowa zamknął drzwi i usiadł na miejscu.

Lilly była zaskoczona reakcją Zacha. Dawno, dawno temu, kiedy jej dom był jeszcze normalnym domem... Nie, nie tak. Dawno, dawno temu, kiedy ludzie mieszkający w jej domu byli jeszcze normalnymi ludźmi, zamierzała w przyszłości zająć się psychologią. Wtedy bardzo interesowały ją relacje między ludźmi - między przyjaciółmi, wrogami, między członkami rodziny, nauczycielami i uczniami, między zawodnikami tej samej drużyny,



między rodzicami i dziećmi... To było fascynujące.

Kilka miesięcy temu, kiedy wszystko w jej domu przewróciło się do góry nogami, doszła do wniosku, że nigdy w życiu nie będzie w stanie zrozumieć zachowań ludzi, i postanowiła zająć się w przyszłości istotami trochę mniej skomplikowanymi - zwierzętami. Na przykład ptakami... Wciąż jednak wydawało się jej, że bardzo szybko potrafi rozpoznać, kto z dwojga ludzi, których coś łączy - na przykład dwoje przyjaciół albo chłopak i jego dziewczyna - dominuje, a kto się podporządkowuje, bo, jak zdążyła zauważyć, między dwojgiem ludzi siły rzadko rozkładają się równo.

Kiedy na przystanku w Leavenworth poznała Zacha i Tima, nie miała wątpliwości, że ten pierwszy - przebojowy, sprawiający wrażenie pewnego siebie - dominuje, a ten drugi - zdecydowanie bardziej powściągliwy w słowach i gestach - jest tym, który się podporządkowuje.

Teraz, kiedy Zach posłuchał przyjaciela i nie próbując z nim dyskutować, zamknął drzwi i został na miejscu, uświadomiła sobie, że tamta ocena była mylna, co jeszcze bardziej utwierdziło ją w przekonaniu, że powinna dać sobie spokój z psychologią.

Ptaki! Te małe stworzenia o niezbyt wielkich mózgach to jest właśnie to, co - być może - będzie w stanie zrozumieć. A jeśli się okaże, że nawet zachowania ptaków są dla mnie zbyt skomplikowane? - pomyślała z przerażeniem.

Trudno, w ostateczności zostanę entomologiem, postanowiła, chociaż nie przepadała za owadami.

Na myśl o tym, że miałyby się zajmować Badaniem zachowań karaluchów, aż wzdrygnęła się z obrzydzenia, na szczęście w tym momencie zobaczyła szeryfa schodzącego w dół i odgoniła od siebie wszelkie nieprzyjemne skojarzenia.

Zbliżał się do nich z uśmiechem, na twarzy.

Amy dopiero teraz poczuła się na tyle bezpiecznie, że puściła dłoń przyjaciółki.

- Wsiadajcie - powiedział, otwierając drzwi. - I weźcie plecaki.

- Mamy iść dalej pieszo? - spytała przerażona Lilly. Zanim usłyszała odpowiedź, przeklinała siebie za dwie odżywki do włosów, dodatkowy dezodorant, tonik do twarzy, balsam do ciała, krem do stóp, olejek do opalania, perfumy Niny Ricci i kilka innych rzeczy, bez których z pewnością mogła się tu obyć, a które zapakowała w ostatniej chwili. Na dworzec autobusowy w Seattle odwiózł ją tata i kiedy podniósł jej plecak, ugiął się pod nim i spytał, czy ma w nim kamienie.

Nie było w nim ani jednego kamienia - bo puder do twarzy w kamieniu to chyba nie kamień, prawda?

Chyba jednak kamień, pomyślała, kiedy szeryf podał jej plecak. Nie miała pojęcia, jak daleko jest jeszcze do obozowiska, ale to i tak nie miało żadnego znaczenia, ponieważ wiedziała, że nie jest w stanie podnieść swojego plecaka na tyle wysoko, żeby włożyć go na plecy, nie mówiąc już o zrobieniu z nim choćby kilku kroków.

- Zaczekaj - powstrzymał ją Tim, kiedy podjęła kolejną desperacką próbę. - Chwył jej plecaki zrobił nieco dziwną minę. Jakby miał problemy z oddychaniem?

- Wiesz, co? - powiedział, z trudem nabierając tchu. - Zamienimy się. Weź mój - powiedział, podając jej swój plecak, prawie identyczny, nawet tej samej firmy - rozpoznała znajomego.

- tyle, że o wiele, wiele lżejszy.

No tak, chłopcy raczej nie używają pudrów w kamieniu. W każdym razie ani Tim, ani Zach nie wyglądali na takich, co używają - w kamieniu, w proszku czy pod jakąkolwiek inną postacią.

- Idziemy dalej pieszo? - Teraz z kolei Amy wpadła w panikę.

Uwagi Zacha nie uszedł rycerski czyn jego przyjaciela i nie pozostało mu nic innego, jak pójść w jego ślady.

- O zesz... w mordę... - rzucił cicho, podnosząc plecak Amy.

- To jak, szeryfie, idziemy dalej pieszo? - spytała Lilly, bez trudu nadążając za sympatycznym starszym panem odpowiedzialnym za przestrzeganie prawa w okręgu Leavenworth.

- Ja nie mam nic przeciwko temu - oznajmiła Amy, która, niosąc plecak Zacha, lekkim krokiem szła obok niej. - Po takim spacerze będzie się dobrze spało. W górach oddycha się zupełnie inaczej niż w mieście - dodała, głośno zaczerpując tchu.

Szeryf zatrzymał się, zerknął na chłopców, którzy zostali daleko w tyle, po czym uśmiechnął się do dziewcząt.

- Myślicie, że wasi koledzy są tego samego zdania?

Amy i Lilly popatrzyły na siebie, wzruszyły ramionami, po czym obie doszły do wniosku, że rozsądniej będzie nie zastanawiać się teraz nad tym, jakiego zdania są chłopcy.

## LILLY, AMY, TIM I ZACH

Kiedy doszli na szczyt wzniesienia - najpierw dotarły tam dziewczęta z szeryfem, a chłopcy dołączyli do nich dopiero po dłuższej chwili - okazało się, że stoi tu nie jeden pojazd, a dwa.

Pierwszy miał podniesioną maskę. Nad silnikiem pochylali się dwaj mężczyźni. Jeden z nich, słysząc kroki, wyprostował się i odwrócił w stronę nadchodzących.

- Cześć - powiedział. - Nazywam się Chuck Morrison.

Był młody; nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia sześć, siedem lat, co zdziwiło Lilly, która przypomniała sobie jego nazwisko. To właśnie z nim ustalała przez Internet wszelkie szczegóły, na przykład datę przyjazdu, i nie wiadomo, dlaczego wydawało jej się, że musi być znacznie starszy.

- Ja jestem Lilly Mahoney, a to jest Amy Harper - przedstawiła siebie i przyjaciółkę. - Miło mi. - Wyciągnął rękę, ale natychmiast ją cofnął. W świetle reflektorów widać było, że cała jego dłoń jest umazana smarem. - A to pewnie Tim i Zach - powiedział, widząc zbliżających się chłopców. Przez chwilę patrzył, jak z trudem wspinają się na górę. - Mają chyba strasznie ciężkie plecaki.

Dziewczęta puściły mimo uszu tę uwagę; popatrzyły tylko na siebie i uśmiechnęły się nieznacznie.

W tym momencie drugi mężczyzna odwrócił się od samochodu. Był trochę starszy od swego towarzysza, tuż po trzydziestce. - Nic dzisiaj nie wskóramy - zwrócił się do Chucka. - Zostawimy go tutaj, a jutro coś się wymyśli. - Cześć - Uśmiechnął się do Lilly i Amy oraz do chłopców, którzy wreszcie przyczłapali na górę. - Jestem Marc Stiller.

Lilly wydawało się, że zna to nazwisko. Po chwili przypomniała je sobie i zrozumiała, dlaczego nie skojarzyła go od razu. Chuck Morrison wspominał o nim w e - mailach, ale zawsze poprzedzał je dwiema literami - dr. Doktor Marc Stiller, wybitny ornitolog, o czym dowiedziała się, czytając w ramach przygotowań do tego wyjazdu kilka artykułów w fachowej prasie.

Tim i Zach z głośnym westchnieniem ulgi postawili plecaki na ziemi.

Lilly już się obawiała, że ich rycerskość ma pewne granice, w związku z czym ona i Amy teraz same będą dźwigać swoje bagaże. Na szczęście okazało się, że nie musieli iść dalej na piechotę.

Chuck Morrison i Marc Stiller wyjaśnili w końcu, dlaczego nie udało im się dotrzeć

do Leavenworth.

Chuck Morrison wyruszył z obozowiska godzinę przed planowanym przyjazdem autobusu. Nie ujechał nawet dziesięciu kilometrów, kiedy zepsuł mu się samochód. Nawet nie próbował go naprawiać. Jak powiedział, na ptakach to on się może trochę zna, ale na silnikach nic a nic. Wrócił, więc pieszo do obozowiska i przyjechał tu razem z Markiem Stillere, któremu podobno kiedyś udało się naprawić jakiś samochód.

Dziś miał jednak znacznie mniej szczęścia. Co gorsza, nie dość, że nie udało mu się uruchomić silnika, to zepsuty samochód stał w takim miejscu, że nie sposób było go wyminąć ani zepchnąć gdzieś na bok. Lilly przyszło do głowy, że żyją w dwudziestym pierwszym wieku i nawet z najdzikszych zakątków Gór Kaskadowych za pomocą telefonu komórkowego można się połączyć z każdym miejscem na Ziemi. Myśli szeryfa najwyraźniej podążyły tym samym torem.

- A nie można było zadzwonić? - zapytał. - Po pomoc drogową albo do mojego biura. Chuck Morrison i Marc Stiller popatrzyli po sobie. Obaj mieli niewyraźne miny. - No... można by było... gdyby... - zaczął niepewnie ten pierwszy. - Gdyby co? - ponaglił go szeryf. | - No... gdybym ja nie zapomniał wziąć z obozowiska swojego telefonu... No i gdyby komórka Marca nie miała rozładowanej baterii.

- Oj, ci naukowcy... - Szeryf pokręcił głową. W tym momencie rozległ się dzwonek jego radiotelefonu. Uniósł go do ucha, przez chwilę słuchał, po czym rzekł: - Powiedz jej, żeby się nie martwiła. Najpóźniej za kwadrans wszyscy będą na miejscu.

Przerwał połączenie i znów kręcąc głową, popatrzył na Chucka Morrisona i Marca Stillera. - Doktor Hatcher dzwoniła do mojego biura - oznajmił. - I co? - zapytał z niepokojem Marc Stiller.

- A co ma być? Martwi się, że górach zaginęło dwóch naukowców, a w Leavenworth czeka czworo młodych ludzi, za których bezpieczeństwo jest odpowiedzialna. Popatrzył na niego i jego kolegę tak, że obaj spuścili wzrok jak mali chłopcy. - No, nie ma na co czekać - rzucił energicznie. - Podnieście plecaki - zwrócił się do Tima i Zacha - i załadujcie je do tego jeepa - polecił, wskazując ręką samochód stojący z tyłu, po czym zwrócił się do Chucka Morrisona: - Najlepiej będzie, jeśli da mi pan kluczyki do tego rzęcha, a ja z samego rana przyślę tu kogoś, kto się nim zajmie.

- To bardzo uprzejmie z pana strony. Naprawdę bardzo dziękuję.

- Nie ma, za co - odparł szeryf. - Ktoś musi się zająć wami, naukowcami, bo inaczej przepadniecie w tych górach.

## LILLY I AMY

Lilly leżała na dole piętrowego, bardzo prymitywnego łóżka w pomieszczeniu, które trudno było nazwać pokojem. Ot, klitka o wymiarach niewiele większych niż dwa na dwa, gdzie mieściło się tylko to łóżko i coś, co wprawdzie spełniało rolę szafy, ale nie bardzo ją przypominało.

Tak jak radziła im asystentka doktor Hatcher, która przyprowadziła dziewczęta do ich kwatery, przykryły się dwoma kocami, ale Lilly i tak pocierała stopą o stopę, żeby się szybciej rozgrzać.

Na zewnątrz panowała absolutna cisza. Mieszkańcy obozowiska musieli już pójść spać, ponieważ jedynymi odgłosami życia, jakie docierały do Lilly, był oddech Amy i skrzypienie łóżka, gdy przyjaciółka przewracała się z boku na bok. - Niezbyt tu wygodnie - poskarżyła się Amy. - Przyzwyczaisz się.

- I zimno.

- Zaraz się rozgrzejesz. - I ta pościel jest jakaś taka szorstka.

- Jezu, Amy, przestań wreszcie marudzić. Czegoś ty się In spodziewała? Hiltona?

Amy prychnęła urażona i zamilkła, a Lilly wsłuchiwała się w ciszę i sama nie wiedząc dlaczego - może na zasadzie kontrastu - zaczęła przypominać sobie odgłosy, jakie w ciągu ostatnich trzech miesięcy często dochodziły do jej pokoju, kiedy mając dosyć atmosfery panującej w domu, zamykała się u siebie, żeby się od tego wszystkiego odciąć. Krzyki, płacze, trzaskanie drzwiami...

Nie myśl o tym, upomniała się. Przecież między innymi po to tu przyjechała, żeby odpocząć od awantur między rodzicami.

Pomyślała o nowo poznanych ludziach, o doktor Hatcher, którą podobnie jak wcześniej Chucka Morrisona i Marca Stillera, wyobrażała sobie zupełnie inaczej. Była sympatyczną starszą panią, malutką, ale bardzo energiczną. Jej asystentka Sally, szczupła dziewczyna w okularach, która z łatwością mogłaby uchodzić za uczennicę liceum - i to taką z młodszej klasy - była niezwykle miła, kiedy pokazywała im najważniejsze obiekty w obozowisku, inne, z powodu późnej pory, zostawiając na jutro.

Lilly miała przecucie, że będzie jej dobrze wśród tych ludzi. Stopy zdążyły się już rozgrzać i ogarnął ją stan błogości, jaka zwykle nadchodzi krótko przed zaśnięciem.

Nie dane jej było jednak zasnąć tak szybko.

- Lilly? - Amy przewróciła się z boku na bok, wysunęła głowę poza łóżko i spojrzała

w dół. - Śpisz?

Lilly bąknęła coś głosem tak sennym, że Amy nie mogła się zorientować, czy było to potwierdzenie, czy zaprzeczenie. Była jednak i tak zbyt podniecona, żeby pozwolić jej dalej spać.

- Tak sobie myślę o Zachu i Timie... - Aha.

- Fajni chłopcy, prawda?

- Hm.

- Sama nie wiem, który podoba mi się bardziej - paplała dalej Amy. - Tim ma taki niesamowity kolor oczu. Szarzielony, prawda? - Ehe.

- A Zach. Jezu, ale on ma uśmiech. Naprawdę nie wiem, którego bym wolała. A ty? - Aha.

- Lilly, przecież ty mnie w ogóle nie słuchasz - obruszyła się Amy. - Spisz? - Już nie - powiedziała Lilly, siadając na łóżku. Wiedziała, że jeśli jej przyjaciółce zbierze się na gadanie, to żadna siła na świecie nie powstrzyma jej przed mówieniem. - Tak mi chodzi po głowie... Nie, nie chodzi po głowie... Mam mocne przeczucie, że coś się wkrótce zmieni w naszym życiu. Wiesz, o czym mówię?

Aha, pomyślała Lilly, znów się w niej odezwała intuicja. A o tym nigdy nie można było z nią dyskutować. Amy była przekonana, że jej intuicja jest nieomylna, i Lilly musiała przyznać, że coś w tym jest.

- Wiem - odparła. - Mówisz o swojej intuicji. Nie mam tylko pojęcia, czego te zmiany w naszym życiu mają dotyczyć. - Nie udawaj, że tego nie wiesz. Uczuć, oczywiście.

Sama przyznasz, że ostatnio, jeśli chodzi o te sprawy, nie wiodło nam się najlepiej. Lilly nie mogła zaprzeczyć. Cztery miesiące temu pokłóciła się z Nathanem, chłopakiem, z którym spotykała się przez rok. Zdążyła już się z tym pogodzić, a nawet udało jej się przekonać siebie, że wcześniej czy później i tak musiałyby do tego dojść. Ona i Nathan nie byli dla siebie stworzeni. Różnili się w zbyt wielu ważnych kwestiach. Mimo to czasami było jej smutno, zwłaszcza kiedy widziała, że jej koleżanki umawiają się z chłopakami, a ona nie trafiła na żadnego, który zająłby miejsce Nathana.

Amy miała jeszcze mniej szczęścia. Już pierwszego dnia w liceum spodobał jej się Bob Thornton i uparła się, że albo on, albo żaden inny. Konsekwentnie odrzucała propozycje wszystkich innych chłopaków, którzy chcieli się z nią umawiać. Kiedy pół roku temu w szkole rozeszła się wieść, że Bob ma dziewczynę, Amy nie chciała w to uwierzyć. Wciąż wierzyła w sprawiedliwość, zgodnie z którą jej wytrwałość powinna zostać nagrodzona. Dopiero kiedy na własne oczy zobaczyła Boba obejmującego swoją dziewczynę, zrozumiała,

że nawet jeśli coś takiego jak sprawiedliwość istnieje, to z pewnością nie dotyczy ona spraw męsko - damskich.

- To prawda - przyznała Lilly. - Jeśli chodzi o chłopaków, to nie miałyśmy zbyt wiele szczęścia.

- Zbyt wiele szczęścia! - prychnęła Amy. - Kompletny kanał.

- Nie przesadzaj, nie jesteśmy jedynymi dziewczynami na świecie, które nie mają chłopaków.

- Ale to się zmieni, zobaczysz. Już wkrótce obie będziemy miały chłopców.

- Wiem, intuicja ci to mówi.

- A żebyś wiedziała!

- Mówi może jeszcze o konkretach? Padają jakieś imiona?

Amy zeskoczyła z góry, namacała w ciemności wyłącznik, zapaliła światło, po czym przysiadła na łóżku przyjaciółki.

- Powiedz tak szczerze - odezwała się po chwili. - Który z nich bardziej ci się podoba, Zach czy Tim?

- Nie wiem, naprawdę nie wiem. Wydaje mi się, że polubiłam ich obu.

- Właśnie, w tym cały problem. Ja też.

- No to chyba nie ma się czym przejmować. To dobrze, że ich lubimy. Wyobrażasz sobie, co by było, gdybyśmy musiały spędzić miesiąc w towarzystwie jakichś koszmarnych facetów, których nie znosimy?

- A jeżeli polubimy ich bardziej? - spytała Amy. - No, wiesz... tak inaczej.

- Jezu, Amy, czy ty naprawdę w środku nocy musisz wynajdować problemy?

- Ale wyobraź sobie, że obie polubiłybyśmy bardziej tego samego.

- Nie. - Lilly roześmiała się i pokręciła głową. - Nie, to niemożliwe.

- Dlaczego? Takie rzeczy się zdarzają.

- Chyba tylko w filmach.

- Zapamiętaj to sobie. Nie ma rzeczy, które trafiają się tylko w filmach. W życiu może się zdarzyć wszystko, ale to absolutnie wszystko.

- Nawet to, że któregoś dnia spotkam w McDonald'sie księcia Williama i on zakocha się we mnie od pierwszego wejrzenia, postawi mi podwójnego cheesburgera, a potem poprosi mnie o rękę i zostanę nową księżną Walii?

- Nawet to - odparła Amy z przekonaniem w głosie. - Prawdopodobieństwo nie jest zbyt wielkie... - Przerwała i popatrzyła na przyjaciółkę. - Nie chodzi mi o to, że nie zakochałby się w tobie, no ale skąd miałby się wziąć w tym McDonald'sie? A skoro już mowa

o prawdopodobieństwie, to mimo wszystko możliwość, że ja i ty zakochamy się w tym samym chłopaku, jest trochę większa niż ta, że zostaniesz księżną Walii.

Amy zamilkła i siedziała ze zmarszczonym czołem. Lilly zauważyła gęsią skórę na jej przedramieniu.

- Włóż pod koc - powiedziała, przesuwając się do ściany.

Przyjaciółka nie skorzystała jednak z tej propozycji. Wstała i zaczęła chodzić po małym pokoiku. Deski z nieheblowanego drewna trzeszczały pod jej stopami.

- Mówisz, że żaden z nich nie podoba ci się bardziej? - spytała po tym, gdy już przemierzyła go tam i z powrotem co najmniej dziesięć razy.

- Są zupełnie inni; trudno ich porównywać - powiedziała Lilly, wzruszając ramionami.

- No to już wiem, co zrobimy. - Amy rozejrzała się, po czym podeszła do swojego plecaka. Nie rozpakowały się jeszcze. Wyjęły tylko piżamy i kosmetyczki, pozostałe rzeczy były wciąż w środku. Pogrzebała chwilę w plecaku i wyjęła żółty kalosz. - To jest Tim - oznajmiła.

- No, nie wiem, czy on byłby zachwycony tym porównaniem.

Amy tymczasem jeszcze raz sięgnęła do plecaka i po chwili uniosła parę grubych skarpet zwiniętych w kłębek. - Domyślam się, że to jest Zach - powiedziała Lilly. - I on też nie byłby chyba zachwycony. - Nie szkodzi. - Amy machnęła ręką, w której trzymała kalosz. - Nigdy się tego nie dowiedzą.

- Popatrzyła na przyjaciółkę. - Ty pierwsza.

- Co mam robić pierwsza?

- Odliczać - odpowiedziała Amy takim tonem, jakby Lilly nie rozumiała najprostszej rzeczy pod słońcem. - Jeśli padnie na kalosz, to Tim będzie twój, i mnie dostanie się Zach, a jeżeli na skarpety, to będzie odwrotnie.

- Może powinnaś już iść spać? - spytała Lilly. Po chwili jednak roześmiała się. A co tam, to przecież tylko żarty, pomyślała i zaczęła recytować swoją ulubioną wyliczankę: - Ene due rabę, zjadł Tadeusz żabę, żaba Tadeusza, w brzuchu mu się rusza.

- Skarpety!

- Ciii... Pobudzisz wszystkich.

- Trafił ci się Zach - szepnęła Amy. - A od Tima ręce precz - dodała, wspięła się na łóżko i chyba od razu zasnęła, w każdym razie nic już nie powiedziała.

Lilly tymczasem, wybita ze snu, długo się przewracała z boku na bok. Kiedy przypomniała sobie dłoń Tima na swoim ramieniu i poczucie bezpieczeństwa, jakie ją wtedy ogarnęło, zrobiło jej się trochę żal, że nie trafił jej się kalosz.



## TIM I ZACH

No i nie mówiłem, że będziemy dzisiaj spać na pryczach? - powiedział Zach, kiedy wszedł wraz z Timem do ich pokoju. - Tyle tylko, że tamte w areszcie w Leavenworth są chyba wygodniejsze niż te tutaj - dodał. - No i cele też mają chyba większe niż ta dziupla.

Kwaterna chłopców okazała jeszcze mniejsza od tej, w której spały Amy i Lilly.

Pomieszczenie było tak wąskie, że kiedy Zach rozpostarł ramiona, dotykał końcami palców belek przeciwnych ścian.

- Po co nam większy pokój? - spytał Tim, przeciskając się obok przyjaciela. Przejście między ścianą a łóżkiem było tak wąskie, że z trudem mijały się w nim dwie osoby. - Nie będziemy tu chyba spędzać dużo czasu.

- Pewnie nie - zgodził się z nim Zach. - W ostateczności możemy chodzić do dziewczyn.

- U nich też nie ma za dużo miejsca. - Kiedy Sally, asystentka profesor Hatcher, prowadziła całą czwórkę do ich sypialń, chłopcy mieli możliwość zerknąć do pokoju Lilly i Amy.

- Ale jednak trochę więcej niż u nas. Dziewczynom zawsze trafia się lepiej.

Tima trochę zdziwiło to spostrzeżenie przyjaciela. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się czuć gorzej traktowanym tylko z tego powodu, że jest chłopakiem.

- Może one potrzebują więcej przestrzeni niż my? - zauważył. - Bo inaczej gdzie by pomieściły te wszystkie rzeczy, które ze sobą przywiozły?

- No - zgodził się z nim Zach. - Tyle tego zabrały, że ledwie doniosłem na górę ten cholerny plecak - poskarżył się. - Czego one tam nawsadzały?

Gdyby ściana z belek odgradzająca ich klitkę od pokoju dziewcząt była przezroczysta, to kilka minut później przynajmniej częściowo poznałby odpowiedź na swoje pytanie – żółte kalosze i grube skarpety.

- Ale nie jest tak źle - odezwał się po chwili. - Są fajne. I obie bardzo ładne. To dziwne – dodał i zamyślił się głęboko. - Zauważyłeś, że rzadko trafiają się dwie przyjaciółki, o których spokojnie można powiedzieć, że są równie ładne?

- Nie, nie zauważyłem - odparł Tim, zastanawiając się, dlaczego przyjacielowi zebrało się nagle na takie ogólne refleksje.

- Śpisz na górze czy na dole? - spytał Zach po kilku minutach, skupiając się już na bardziej konkretnych sprawach. - Wszystko mi jedno. ~ No to ja idę na górę. - W porządku -

zgodził się Tim.

Zach postawił plecak w kącie pokoju, po czym wdrapał się na swoje posłanie. - Nie idziesz się myć? - zdziwił się Tim.

- Nie, dzisiaj sobie daruję. Chcę mi się spać.

- Świnia - rzucił Tim. - Jak zaczniesz śmierdzieć, to postaram się, żeby cię przenieśli do innej kwatery - zagroził przyjacielowi i zniknął za drzwiami prowadzącymi do łazienki z prymitywnym prysznicem, tak miniaturowej, że nie można w niej było zrobić nawet dwóch kroków. Kiedy się okazało, że z prysznica leci lodowato zimna woda, umył tylko szybko zęby i dwie minuty później był z powrotem w pokoju.

- Chyba obaj będziemy śmierdzieć - stwierdził Zach.

- Nie ma ciepłej wody - tłumaczył się Tim. - Rano wezmę prysznic.

- Ta cała Sally uprzedzała, że podgrzewacz wody ma tak małą przepustowość, że jeśli dwie osoby wejdą pod prysznic, to następne będą musiały czekać na wodę, co najmniej kwadrans. Amy i Lilly musiały być szybsze od nas. Dziewczyny zawsze na wszystkim wychodzą lepiej. - Hej! - rzucił Tim. - Co cię dzisiaj napadło z tym czepianiem się dziewczyn? - Ja się czepiam dziewczyn? - zdziwił się Zach. - Coś ty?!

Ja bardzo lubię dziewczyny. Zwłaszcza Amy i Lilly, i właśnie się zastanawiam, którą z nich lubię bardziej. A ty?

- No... - Tim nie wiedział, co odpowiedzieć na takie bezpośrednie pytanie. - No, chyba też je lubię.

- Ale którą bardziej?

- Skąd mam wiedzieć? Znam je przecież dopiero od dwóch godzin. - Nie słyszałeś nigdy o czymś takim jak pierwsze wrażenie?

- O wrażeniu czy wejrzeniu? - domagał się uściślenia Tim. - O wejrzeniu owszem, słyszałem. Moja siostra wyciągnęła mnie kiedyś na jakąś komedię romantyczną i mówili tam coś o miłości od pierwszego wejrzenia. - Tak naprawdę to film bardzo mu się podobał, ale nigdy w życiu by się do tego nikomu nie przyznał, a już na pewno nie Zachowi, który, choć był jego najlepszym przyjacielem, pękłby ze śmiechu, gdyby się dowiedział, że Tim pod koniec seansu ukradkiem wycierał łzy.

- O miłości, od razu o miłości! - prychnął lekceważąco Zach, ale w jego tonie wyczuwało się coś nieszczerzego.

Czyżby to było to samo, co mnie nie pozwala się przyznać, że płakałem na filmie, na który zabrała mnie siostra? - zastanawiał się Tim.

- Nie mówię o żadnej miłości od pierwszego wejrzenia - powiedział po chwili Zach.

Jego głos był już normalnym głosem chłopaka, który nawet gdyby miał starszą siostrę, to z pewnością nigdy nie dałby się jej namówić na obejrzenie jakiegoś ckiego filmu. - Chodzi mi o to, że widzisz dziewczynę i od razu wiesz, że ci się podoba. Rozumiesz?

- No, chyba rozumiem. I co? Tobie któraś z tych dwóch się tak spodobała?

- Przecież ci mówiłem, że obie są fajne.

Tim nie miał pojęcia, do czego przyjaciel zmierza, czuł jednak, że jest dziwnie rozdrażniony.

- Mam zgasić światło? - zapytał. Wyłącznik był umieszczony dość nisko na ścianie, w zasięgu jego ręki.

- Zgaś - rzucił Zach. - Albo nie. Poczekaj chwilę.

Zeskoczył na dół, podniósł z podłogi dzinsy, które wcześniej rzucił tam byle jak, i wyjął z kieszeni ćwierćdolarówkę.

- Waszyngton czy orzeł?

- O co gramy?

- Waszyngton czy orzeł? - powtórzył Zach, ignorując pytanie przyjaciela.

- Waszyngton - zdecydował się szybko Tim, ciekawy, o co w tym zakładzie chodzi.

- No to Lilly jest Waszyngtonem, a Amy orłem - powiedział Zach. - Jeśli padnie Waszyngton, startujesz do Lilly, a jeśli orzeł, to do Amy.

- Zwariowałaś? - oburzył się Tim. - Mamy graco dziewczyny? A one nie tają nic do powiedzenia? Dziewczyny to nie konie na wyścigach... albo... albo... - Zabrakło mu wyobraźni i nie wymyślił innych analogii.

Może gdyby widział, że dokładnie w tym samym momencie w sąsiednim pomieszczeniu Amy wyjęła z plecaka żółty kalosz, nie byłby tak oburzony.

Zach tymczasem podrzucił ćwierćdolarówkę tak wysoko, że odbiła się od sufitu.

Tim uznał tę grę za kompletnie bezsensowną i właściwie zupełnie nie powinno go interesować, która strona monety będzie na wierzchu, mimo to, kiedy ćwierćdolarówka spadła z brzdękiem na podłogę, wstał z łóżka i poszedł sprawdzić wynik.

- Orzeł - obwiesił jego przyjaciel. - Wygląda na to, że twoją dziewczyną będzie Amy.

Tim pokręcił głową i uśmiechnął się. W ich ciasnej klatce nie było lustra i nie widział siebie, jednak i bez tego nie miał wątpliwości, że uśmiech, który w tym momencie wykrzywił jego usta był bardzo głupim uśmiechem.

Zdawał sobie sprawę, że to podrzucanie monety jest jednym z wielu wygłupów Zacha, mimo to nie mógł się oszukiwać - był rozczarowany. Miał nadzieję, że moneta spadnie tak, że na górze będzie podobizna prezydenta Waszyngtona.

## LILLY I AMY

Smugi słonecznego światła przedzierające się przez liście stojącego za oknem drzewa padały prosto na twarz Lilly. Nie była jednak pewna, czy obudziły ją te jaskrawe promienie, czy kakafonia dochodzących z zewnątrz odgłosów.

Przesłoniła dłonią oczy i nadstawiła uszu, próbując rozróżnić poszczególne dźwięki i wyłowić te, których źródłem mógł być człowiek. Ale poza trelami, świergotem, ćwierkaniem i innymi ptasimi odgłosami, których nie potrafiła jeszcze nazwać, nie słyszała nic, żadnych rozmów, kroków ani innych oznak ludzkiej krzątaniny.

W pierwszej chwili pomyślała, że wszyscy jeszcze śpią, ale kiedy spojrzała na zegarek, uświadomiła sobie, że to niemożliwe. Było pięć po dziesiątej, a z tego, czego zdążyła się dowiedzieć z e - maili przysyłanych przez Chucka Morrisona, wynikało, że życie w obozowisku zaczyna się o szóstej. Już od czterech godzin powinnam być na nogach, pomyślała.

- Amy, wiesz, która godzina? - spytała, szturchając materac przyjaciółki. Z góry dobiegł jakiś bliżej niezidentyfikowany dźwięk, z którego nie sposób było się domyślić niczego poza tym, że Amy nie jest zachwycona.

Lilly już chciała ponowić próbę obudzenia przyjaciółki, kiedy przypomniała sobie, jak profesor Hatcher mówiła, żeby się porządnie wyspali i rano nie spieszyli ze wstawaniem. Przez kilka minut leżała jeszcze w łóżku, zastanawiając się, czy nie posłuchać jej rady i nie spróbować jeszcze pospać, w końcu jednak podniosła się z łóżka, podeszła do niewielkiego okienka, uniosła haczyk, na które było zamykane, i otworzyła je na całą szerokość.

Zapach lasu był tak oszałamiający, że na chwilę ją obezwładnił. Stała w oknie i wciągała głęboko w płuca rześkie, niczym nieskażone powietrze. Kiedyś, dawno, dawno temu, często bywała w lesie. Prawie co weekend wyjeżdżała z rodzicami za miasto. Teraz, gdy poczuła tę charakterystyczną mieszaninę leśnych zapachów - drzew, mchu i wilgoci - przypomniały jej się tamte szczęśliwe czasy. Zaraz po tym jednak zaczęły jej się nasuwać inne wspomnienia - o wiele świeższe i znacznie mniej przyjemne.

Szybko zamknęła okno i zajęła się rozpakowywaniem plecaka. Gdy już wszystkie jej rzeczy znalazły się na półkach w prowizorycznej szafie, poszła do łazienki. Kiedy myła zęby, usłyszała odgłos zamykanych drzwi, a potem szum wody. Domyśliła się, że za ścianą jest łazienka chłopców i jeden z nich właśnie wszedł pod prysznic. Przez chwilę zastanawiała się który.

Jakby to miało jakieś znaczenie, ofuknęła się w duchu, starając się skupić na toalecie, a ściślej mówiąc na tym, żeby umyć włosy tak, by nie zrobił jej się kołtun, z którym musiałaby potem walczyć przez pół godziny - Ale wystarczyło, że usłyszała zza ściany głuchy stukot, jakby komuś wysliznęło się z ręki mydło i spadło na kamienną posadzkę, a jej myśli znów wróciły do tego samego. Tim czy Zach? Tim, oczywiście, że Tim.

Nie miała pojęcia dlaczego, ale była pewna, że to on. I w tym samym momencie, kiedy zyskała tę pewność, zrobiło jej się okropnie głupio, tak jakby go podsłuchiwała. Nie zważając na to, że płacze włosy, szybko je opłukała, wyszła spod prysznica i wytarła się byle jak.

Kiedy, owinięta ręcznikiem, wpadła do pokoju, Amy już siedziała na łóżku.

- Ktoś cię gonił? - spytała, przyglądając się przyjaciółce.

- Nie - odparła spłoszona Lilly. - A dlaczego ci to przyszło do głowy?

- Bo wyglądasz, jakbyś przed kimś uciekała - odparła Amy, zgrabnie zeskakując z łóżka.

- Nie, jest mi tylko trochę zimno.

- No to może dobrze by było, gdybyś się porządnie wytarła. - Amy ruchem głowy wskazała na podłogę u stóp przyjaciółki.

Lilly zerknęła w dół i zobaczyła mokre plamy. Z jej pospiesznie wytartej głowy kapłała woda. Zanim Amy rozpakowała swój plecak, Lilly zdążyła rozczesać i wysuszyć włosy.

- Chyba wyjdę na dwór i się rozejrzę - oznajmiła, wciągając dzinsy.

- A ja wezmę prysznic - rzuciła Amy i zniknęła w mikroskopijnej łazience.

Lilly zastanawiała się przez chwilę, który T - shirt włożyć, w końcu pomyślała, że przecież tu, w lesie, i tak nikt nie będzie zwracał uwagi na jej wygląd, i zła na siebie o ten przejaw próżności, chwyciła koszulkę, która była na samej górze. Włożyła ją i już otworzyła drzwi, gdy usłyszała głośne przekleństwo dochodzące z łazienki.

- Amy? - spytała, zatrzymując się w progu. - Coś się stało?

- Nic poza tym, że z prysznica leci lodowata woda - odpowiedziała Amy, wychylając głowę z łazienki.

- Sally uprzedzała, że ciepłej wystarczy tylko dla dwóch osób - przypomniała jej Lilly.

- Pamiętam, ale myślałam, że będę tą drugą.

- Przed chwilą Tim brał prysznic - palnęła Lilly, zanim zdążyła się zastanowić.

- Tim...? - Amy patrzyła na nią, nie kryjąc zdumienia. - Skąd to wiesz?

- Słyszałam za ścianą szum wody - odpowiedziała Lilly, mając nadzieję, że jej przyjaciółka nie będzie zbyt dociekliwa. Nic z tego.

- Tego się domyśliłam - rzuciła Amy, spoglądając na nią uważnie. - Nie wiem tylko, skąd wiedziałaś, że to Tim, a nie Zach. Rozmawiałaś z nim przez ścianę?

- Zgłupiałaś?! Nie... nie wiedziałam, że to on. To znaczy... wiedziałam - jąkała się Lilly, czując na sobie coraz bardziej podejrzliwe spojrzenie. - Wiedziałam, że to któryś z nich, a Tim po prostu pierwszy przyszedł mi do głowy. - W obawie, że za chwilę się zaczerwieni, odwróciła się do wyjścia i stojąc już plecami do przyjaciółki, dodała: - Musisz kilka minut poczekać na ciepłą wodę.

- Nie uważasz, że powinnaś raczej najpierw pomyśleć o Zachu?

- Niby dlaczego?

- Bo to jego wylosowałaś.

Lilly знаła przyjaciółkę. Wiedziała, że Amy miewa szalone pomysły, ale o większości z nich po godzinie zapominała. Spodziewała się, że tak będzie również z tym idiotycznym losowaniem chłopaków - że Amy do rana o nim zapomni, a nawet jeśli nie, to na pewno nie potraktuje go na serio.

Już się chciała odwrócić i powiedzieć jej, że to był przecież tylko żart, ale poczuła, że się czerwieni. Wzruszyła więc tylko ramionami i wyszła z pokoju.

- Pamiętaj, co ci wczoraj mówiłam! - zawołała za nią Amy. - Ręce precz od Tima.

## TIM I ZACH

Tim wcale się nie starał zachowywać cicho, gdy po wyjściu z łazienki rozpakowywał plecak i układał swoje rzeczy na jednej z półek, mimo to jego przyjaciel nawet nie poruszył się na łóżku. Kiedy się ubierał, Zach nadal spał w najlepsze.

Tim wiedział, że w obozowisku, poza Lilly i Amy, nie ma teraz nikogo. Asystentka doktor Hatcher wspomniała w nocy, że o tej porze wszyscy są na porannym obchodzie lasu. Nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić, zaczął czytać jedną z książek, którą jakiś poprzedni mieszkaniec tego pokoju zostawił na półce. Lektura była jednak niezbyt wciągająca, przejrzał więc kolejne książki, lecz okazało się, że ich właściciel musiał być miłośnikiem literatury science - fiction, a w Timie już same tytuły s.f. - ów - „Jednoręki cyborg” „Kosmiczna oaza”, „Cyborgi opanowuj ą Marsa” - budziły odrazę.

Żałując, że nie wziął ze sobą własnych książek, z niesmakiem odłożył na półkę „Jednorękiego cyborga”. Zastanawiał się, czym się zająć, kiedy usłyszał, że z sąsiedniego pokoju ktoś wychodzi.

To któraś z dziewcząt, pomyślał i zaraz po tym stanęła mu przed oczami drobna postać Lilly. Przemknęło mu wprawdzie przez głowę pytanie, dlaczego wyobraził sobie właśnie tę dziewczynę o kasztanowych włosach i twarzy w kształcie serca, a nie jej jasnowłosą przyjaciółkę, ale nie roztrząsał tego problemu.

Po prostu zapragnął nagle wyjść i ją zobaczyć. Podniósł się z plecaka, który z braku innych sprzętów przez chwilę służył mu za siedzisko, i wąskim przejściem między ścianą a łóżkiem ruszył do drzwi.

Kiedy zobaczył na poduszce górnego piętra łóżka zmierzwioną czuprynę przyjaciela, pomyślał, że powinien go jednak obudzić.

- Pobudka! - huknął mu do ucha. Po kilku wspólnych wyjazdach wiedział, że nie jest łatwo go obudzić. Ta metoda jednak okazała się trochę zbyt drastyczna. Zach zerwał się bowiem tak gwałtownie, że uderzył głową o pochyły sufit.

- Jezu... - jęknął, przykładając dłoń do czoła. - Musisz się tak wydzierać? Przez ciebie rozwaliłem sobie łeb.

- Nic ci nie będzie - powiedział Tim. - Jest już prawie jedenasta. O dwunastej mamy się spotkać z doktor Hatcher i dobrze by było, gdybyś do tej pory był na nogach.

- Cholera, głodny jestem - poskarżył się Zach. - Mógłbyś skombinować coś do zarcia?

- Sam sobie skombinujesz - odparł Tim, wiedząc, że wśród tych niewielu powodów,

które mogą go skłonić do zwleczenia się z łóżka, jedno z pierwszych miejsc zajmuje głód. – Jak wstaniesz - dodał, mierząc przyjaciela krytycznym spojrzeniem. - I zrób coś z tym czymś, co masz na głowie. - Zach miał dość długie, kręcone włosy, które zawsze po spaniu przypominały nastroszone gniazdo.

- Jasne, że coś zrobię - rzekł Zach. Dopiero teraz oderwał dłoń od czoła i zaczął doprowadzać do porządku niesformą czuprynę. Po chwili mrugnął porozumiewawczo i dodał: - Nie wiem, jakie ty masz plany wobec Amy, ale ja za moją Lilly zamierzam się zabrać od razu.

Tim nigdy jeszcze z nikim się nie bił i nie podejrzewał się o to, że kiedykolwiek będzie chciał komuś przyłożyć, a już tym bardziej o to, że będzie miał ochotę rozkwasić nos najlepszemu przyjacielowi.

A teraz z trudem się powstrzymał.

Moja Lilly... moja Lilly... moja Lilly, dźwięczało mu w uszach.

Wciąż zaciskając pięść, popatrzył na Zacha i omal się nie uśmiechnął, kiedy zauważył, że na jego czole, w miejscu, które było zaczerwienione, rysuje się lekkie wzniesienie. Za pół godziny będzie z tego guz jak się patrzy. Taki guz z pewnością nie doda urody tej ładnej buzi, której nie mogła się oprzeć większość dziewcząt.

Tim rozważał przez chwilę w myślach, czy podbite oko albo spuchnięty nos nie pomogłyby w uzyskaniu lepszego efektu, ale potem pomyślał, że to przecież Zach, jego najlepszy przyjaciel. Jaki tam najlepszy?! Jedyne prawdziwy przyjaciel, który z pewnością nigdy nie powiedziałby czegoś takiego jak „moja Lilly”, gdyby wiedział, co on, Tim, poczuł w nocy, kiedy na chwilę położył dłoń na jej ramieniu - wtedy kiedy szeryf wysiadł z samochodu.

Rozluźnił wreszcie dłoń i wyszedł z pokoju.

Obozowisko składało się z czterech zbudowanych z bali chat Z tego, co Lilly zapamiętała z informacji przekazywanych w nocy przez Sally, w największej z nich znajdowała się kuchnia, jadalnia i trzy pokoje, w nieco mniejszej pracownia, gabinet doktor Hatcher oraz jej sypialnia. W dwóch pozostałych, o identycznej wielkości, mieściły się po dwa pokoje. Właśnie w jednej z nich zamieszkali Lilly, Amy, Tim i Zach. Środek kwadratowej polany, w której narożnikach zajmował długi drewniany Sally mówiła im wprawdzie, że z pracowni, kuchni i jadalni mogą Wystać, kiedy tylko zechcą, mimo to Lilly - jak zawsze w nowym miejscu - czuła się trochę niepewnie i wołała nie wchodzić tam sama. Chociaż jej żołądek wyraźnie dopominał się już śniadania, postanowiła poczekać na Amy.

Rozciągnęła się na ławce, zamknęła oczy, wystawiła twarz do słońca i zaczęła się



wysłuchiwać w odgłosy lasu Gdzieś z oddali dochodziło piskliwe „kikikiki”, co jakiś czas zagłuszane przez rytmicznie skandowanie „wice - wice - wice” albo czysto brzmiące „ti - e”.

Po chwili rozległ się przypominający zawroźnienie śpiew: „tjili - tjili - lilir”. Właściciel - albo właścicielka - tego smutnego głosu musiał być gdzieś niedaleko, na którymś pobliskich drzew. Lilly podniosła się, otworzyła oczy i rozejrzała, próbując go wyśledzić. Kiedy się zorientowała, skąd dociera ten głos, powoli, żeby nie spłoszyć ptaka, ruszyła w tamtą stronę. - Spójrz na tę małą krzywą sosnę - usłyszała za plecami.

Obróciła głowę i zobaczyła Tima. Chłopak złapał ją za ramię i zatrzymał w miejscu. - Nie podchodź bliżej, bo go przestraszysz - ostrzegł.

Lilly popatrzyła uważnie na skarłowaciałe drzewko rosnące w pobliżu największej chaty. Na jednej z górnych gałęzi siedział nieduży ptak o ciemnym grzbiecie i jasnych bokach. - Modraczek - powiedział Tim, a ona popatrzyła na niego, szeroko otwierając oczy. - Dobry jesteś.

Zanim tu przyjechała, zrobiła wszystko, co mogła, żeby nie wyjść na ignorantkę. Korespondując z Chuckiem Morrisonem, oprócz pytań praktycznych, takich jak: co ze sobą zabrać, wypytywała go także o różne sprawy związane z prowadzonymi tu badaniami. Na każde z jej pytań chętnie udzielał odpowiedzi i w ten sposób dowiedziała się, jakie gatunki ptaków są objęte badaniami. Nie było ich wiele, bez trudu więc znalazła je w „Wielkim leksykonie ptaków Ameryki Północnej” i przyswoiła sobie wszystkie możliwe informacje. Długo wpatrywała się w zdjęcia, próbując zapamiętać nawet najdrobniejsze szczegóły kształty dziobów, długość ogonów, ubarwienie skrzydeł głów i reszty ciała. Wiedziała więc, jak wygląda modraczek, ale z odległości kilkunastu metrów, które dzieliły ją od karłowatej sosny, nie byłaby w stanie go rozpoznać. - Masz dobry wzrok - zwróciła się do Tima. - Nie wzrok, słuch - sprostował.

Bardzo powoli, krok za kroczkiem, posuwali się do przodu. - Tjili - tjili - lilir - wyśpiewywał smutnym głosem ptasi solista.

No właśnie, słuch! - pomyślała Lilly. Chcąc pogłębić swą wiedzę, dwa tygodnie temu kupiła płytę zatytułowaną „Arie naszych skrzydlatych przyjaciół”, na której były zarejestrowane głosy wydawane przez ponad sto gatunków ptaków najczęściej spotykanych w Ameryce Północnej.

Słuchała tej płyty przez kilka wieczorów z rzędu. Zrezygnowała, kiedy stwierdziła, że – może poza „ćwir - ćwir” - nie jest w stanie ani rozróżnić, ani zapamiętać żadnych głosów. I nie dziwiła się już, że na początku licem nauczycielka śpiewu po pierwszej próbie szkolnego chóru, do którego Lilly strasznie chciała należeć, poprosiła ją, by została chwilę, i spoglądając

na nią ze współczuciem - Lilly dopiero teraz uświadomiła sobie, że to było współczucie - bardzo łagodnie zapytała, czy nie sądzi, że lepiej by się czuła, na przykład na zajęciach plastyki.

Na zajęciach plastyki wcale nie czuła się lepiej, ponieważ nie chodziła na nie Amy, z którą od pierwszej klasy podstawówki były nierozłączne. Nie mogła jednak zaręczyć, że zdecydowanie lepiej rozróżniała barwy niż dźwięki.

Kiedy ona i Tim zbliżyli się do sosny na odległość nie większą niż dziesięć metrów, zobaczyła, że ptak ma ciemno niebieski grzbiet i pomarańczowe boki, szaroniebieski ogon i białą wydłużoną plamkę nad okiem, kształtem przypominającą brew - dokładnie tak, jak zapamiętała ze zdjęcia w leksykonie.

- Rzeczywiście modraczek - powiedziała. - Samiec modraczka - dodała po chwili.

Tym razem Tim spojrział na nią ze zdumieniem.

- Skąd wiesz, że sarniej.

- Samice i małe mają grzbiety brązowo zielone - odparła Lilly.

- Dobra jesteś - powiedział Tim, z uznaniem kiwając głową.

- Przyznam ci się, że jeszcze miesiąc temu nie wiedziałam, że taki ptak jak modraczek w ogóle istnieje.

- To tak jak ja.

- Więc jak go rozpoznałeś po głosie? Tim uśmiechnął się niepewnie.

- Chcesz znać prawdę? Lilly skinęła głową.

- Kupiłem sobie płytę z nagraniami ptasich głosów.

- „Arie naszych skrzydlatych przyjaciół”?

- Skąd wiesz? - zdziwił się Tim.

- Bo też ją kupiłam.

- I nie chciało ci się przesłuchać?

- Coś w tym rodzaju - odparła Lilly. Wiedziała, że każdy ma prawo do swoich wad, a brak słuchu nikogo nie dyskwalifikuje, nie miała jednak ochoty chwalić się przed Timem swoimi słabymi stronami. - Ale za to spędziłam trochę czasu na oglądaniu zdjęć ptaków, a że mam chyba nie najgorszą pamięć fotograficzną, to wiem, jak wyglądają.

- Ja nie mam pojęcia - przyznał się Tim. - Ale wiesz co?

To znaczy, że będziemy się nieźle uzupełniać.

Była pewna, że w jego słowach nie kryje się żaden podtekst, żadna aluzja. Chciał powiedzieć, że on potrafi rozpoznawać ptaki po głosach, a ona po wyglądzie - tylko to, nic więcej - mimo to poczuła się speszona.

- Chyba trzeba by się rozejrzeć za jakimś śniadaniem - zmieniła szybko temat i odwróciła się tak gwałtownie, że spłoszony ptak zerwał się z gałęzi, zatrzepotał skrzydłami i zniknął wśród wysokich drzew w głębi lasu.

- Kuchnia i jadalnia są chyba tutaj, prawda? - spytał Tim, wskazując najbliższą chatę.

- Jeśli dobrze zapamiętałam, co mówiła Sally, to tak.

Drzwi były niedomknięte. Kiedy je popchnęli, głośno zaskrzypiały. Lilly i Tim weszli do środka, ale zaraz za progiem zatrzymali się i popatrzyli na siebie niepewnie.

- Myślisz, że to jest jadalnia? - spytała Lilly. Były tu wprawdzie dwa duże drewniane stoły i kilkanaście prostych krzeseł, ale nazwa „jadalnia” wydała jej się trochę przesadna dla tego nieprzytulnego pomieszczenia o małych okienkach, których, prawdę powiedziawszy, mogłoby w ogóle nie być, ponieważ tuż za nimi wyrastała ściana gęstego lasu, nie przepuszczająca promieni słonecznych i sprawiająca, że panował tu nieprzyjemny mrok.

- Pewnie tak - odparł Tim. - A tam - wskazał na wnękę po prawej - musi być kuchnia.

Nie mylił się, choć kuchnie, które Lilly dotąd widziała, wyglądały nieco inaczej. W tej był tylko zlewozmywak, stara kuchenka gazowa i kilka obdrapanych szafek, każda inna. Tylko lodówka była duża i nowa, a co więcej, kiedy Lilly ją otworzyła, okazało się, że jest pełna. - Nie jest tak źle, z głodu nie umrzemy - rzuciła. - Myślisz, że możemy wziąć sobie do jedzenia, co chcemy?

- Chyba tak - odparł Tim.

Przez chwilę oboje się wahali, potem jednak głód okazał się silniejszy niż nieśmiałość.

Pięć minut później siedzieli już w jadalni i jedli kanapki, popijając je kakao, które podgrzali w mikrofalówce.

- Przyjechałaś tu naprawdę tylko, dlatego, żeby łatwiej ci było dostać się na studia?

Poprzedniego dnia, kiedy stali na przystanku, rozmawiali o tym i wszyscy czworo przyznali się, że właśnie to - dodatkowe punkty przy ubieganiu się o przyjęcie na studia - zaważyło na ich decyzji o przyjeździe w Góry Kaskadowe.

Kiedy zerknęła na niego, miała wrażenie, że wie o niej więcej, niż może wiedzieć, po chwili jednak uznała, że to niemożliwe. O swoich problemach w domu nie opowiadała nikomu poza Amy, a ta nie miała dotąd okazji rozmawiać, z Timem sam na sam. Zresztą nawet gdyby jej się taka okazja trafiła, to nie pisnęłaby na ten temat ani słowa - Lilly była tego całkowicie pewna.

- No, wiesz... - odpowiedziała po chwili - zawsze interesowałam się zwierzętami. Wciąż się waham, czy studiować biologię, czy weterynarię.

- Naprawdę myślisz o weterynarii?

- Tak - odparła Lilly. - Dlaczego to cię tak dziwi? - spytała, widząc uśmiech na jego twarzy. - Uważasz, że to zły pomysł? - Nie, przeciwnie.

- Ty też się zastanawiasz, czy nie studiować weterynarii?

- Nie, nie zastanawiam się. Ja już postanowiłem... Chociaż nie, to nie tak, niczego nie musiałem postanawiać. Od czasu jak sięgam pamięcią, zawsze wiedziałem, że zostanę weterynarzem.

- Nie wierzę - powiedziała Lilly, unosząc brwi. - Nigdy nie chciałeś być pilotem, kierowcą wyścigowym, gwiazdą futbolu albo muzykiem rockowym? Wszyscy chłopcy, jakich znam, kiedyś o tym marzyli, a niektórzy do dziś z tego nie wyrosli.

- Możesz się ze mnie śmiać, ale nie - odparł trochę nieśmiało. - Mój tata jest weterynarzem.

Jego klinika mieściła się w naszym domu, więc właściwie wychowałem się wśród zwierząt.

- To fantastycznie. Pomagasz czasami ojcu?

W przeciwieństwie do Zacha, Tim nie był typem wiecznie uśmiechniętego wesołka. Twarz miał raczej zadumaną, a teraz w jego oczach pojawił się cień smutku. A może Lilly tylko się tak wydawało. Pokręcił głową.

- Nie, ojciec od jakiegoś czasu mieszka w San Francisco.

- Twoi rodzice się rozwiedli? - Zanim dokończyła to pytanie, przyszło jej do głowy, że nie powinna go zadawać. Mnóstwo ludzi się rozwodzi. Wśród jej koleżanek i kolegów prawie połowa miała rozwiedzionych rodziców. Jeszcze pół roku temu takie pytanie nie budziłoby w niej żadnych wątpliwości, ale później tyle się zmieniło. - Przepraszam, nie powinnam być taka ciekawska.

- Nie masz za co przepraszać - powiedział Tim. - Rozwiedli się pięć lat temu. Kiedy się uśmiechnął, pomyślała, że go nie zraniła, że wszystko jest w porządku. Korciło ją, żeby zadać mu następne pytanie. Wahała się, czy wypada tak wypytywać kogoś, kogo zna zaledwie od kilkunastu godzin. Kiedy wreszcie zebrała się na odwagę, było już za późno. Zaskrzypiały drzwi i do jadalni weszła Amy.

## LILLY, AMY, TIM I ZACH

No proszę! Ja tu umieram z głodu, a wy już po śniadaniu! - zawołała Amy, widząc na stole puste talerze. - Zostawiliście coś dla mnie? - Popatrzyła najpierw na Tima, potem na Lilly, a potem znów na niego. - A w ogóle, to dzień dobry - powiedziała, przywołując na twarz swój uśmiech numer jeden, ten któremu uległby pewnie sam Collin Farrell, gdyby tylko miał okazję go zobaczyć.

Lilly udała, że tego nie zauważyła, a Tim, wyraźnie zaskoczony tym wylewnym powitaniem, bąknął tylko cicho „dzień dobry”.

- Chodź, pokażę ci, gdzie jest kuchnia - rzuciła Lilly, wstała i pociągnęła za sobą opierającą się Amy. - Przestań się wygłupiać - szepnęła jej do ucha, gdy znalazły się w kuchennej wnęce. - To ty przestań. Miałas trzymać ręce z dala od niego - odpowiedziała Amy, wcale nie zniżając głosu.

- Ciii - wysyczała Lilly. Cały ten wygłup z losowaniem przestał już być dla niej zabawny.

Zastanawiała się, czy Tim je słyszy, a jeśli tak, to co sobie może pomyśleć.

Jej przyjaciółka chciała powiedzieć coś jeszcze, ale Lilly popatrzyła na nią tak, że natychmiast zamknęła usta.

- Weź sobie, co chcesz - rzuciła, otwierając lodówkę, i obawiając się, że Amy może coś palnąć, zostawiła ją i wróciła do Tima. Ledwie zdążyła usiąść, znów zaskrzypiały drzwi i wszedł Zach.

- Cześć. - Popatrzył na Lilly i uśmiechnął się promiennie. Miał ładne zęby, które przy jego karnacji wydawały się nieprawdopodobnie białe. Hollywoodzki uśmiech, oceniła Lilly, ale sekundę później przemknęło jej przez myśl, że bardziej się jej podoba dyskretniejszy, lecz jednocześnie bardziej intrygujący uśmiech jego przyjaciela.

- Cześć - rzuciła.

- Wy już po śniadaniu? - zapytał z wyrzutem w głosie. - Zostało coś dla mnie?

- Dwie minuty temu Amy pytała dokładnie o to samo - odpowiedział Tim. - Pewnie, że zostało.

Tam - wskazał na kuchenną wnękę - jest pełno jedzenia. Ale nawet gdyby było niewiele, to ja w przeciwieństwie do ciebie, jestem prawdziwym przyjacielem, i podzieliłbym się z tobą ostatnim kawałkiem chleba.

- Chcesz mi coś dać do zrozumienia?

- Ja? - zachnął się Tim. - Niby co miałbym ci dać do zrozumienia? - Spojrzał na Zacha, mrużąc oczy. - Ach, chyba że myślisz o tym wyjeździe na Surfing w zeszłym roku... – Choć Zach piorunował go wzrokiem, Tim dokończył: - Kiedy ostatniego dnia za trzy dolary, które nam zostały, kupiłeś hamburgera i sam go zjadłeś.

- Nieprawda - zaprotestował Zach. - To nie było tak. Nie wierz mu - zwrócił się do Lilly.

- A jak było? No, powiedz jak było? - nie dawał za wygraną Tim.

- To wcale nie były ostatnie trzy dolary.

- Masz rację. - Tim uniósł ręce w pokojowym geście. - Zostały nam jeszcze trzydzieści trzy centy.

- No właśnie! - Satisfakcja, która pojawiła się w oczach Zacha, dość szybko zgasła. - Wystarczyło akurat na gumę do żucia, która pozwoliła mi zapomnieć o głodzie. Nie ma to jak prawdziwy przyjaciel. Ktoś inny zamówiłby do tego hamburgera dodatkowy bekon i na gumę do żucia już by mi nie wystarczyło.

Tim popatrzył na przyjaciela jak na swego dobroczyńcę, a ten - może dlatego że był już bardzo głodny, a może dlatego że nie znalazł więcej argumentów na swoją obronę - machnął ręką i poszedł do kuchennej wnęki. Zanim w niej zniknął, zatrzymał się na chwilę. Gestykulując gwałtownie, zaczął dawać Timowi jakieś znaki. Przerwał tę dziwną pantomimę, kiedy się zorientował, że Lilly odwróciła głowę i patrzy na niego zaskoczona. Zniknął za załomem z nieociosanych belek, a ona zastanawiała się, co mogła znaczyć ta pięść przyłożona do brody, palec wskazujący, uderzający w jego pierś, i ten sam palec wymierzony w nią. Spojrzała pytająco na Tima.

Wzruszył tylko ramionami, jakby zachowanie przyjaciela było dla niego tak samo niezrozumiałe jak dla niej. Podniosła ze stołu kubek i piła powoli zimne już kakao, zastanawiając się, o co tu chodzi. Kiedy przełknęła ostatni łyk, wiedziała, że są tylko dwie możliwości. Albo Zach był lekko stuknięty. Albo on i jego przyjaciel coś knuli.

## LILLY, AMY, TIM I ZACH

W południe spotkali się w pracowni, dość przestronnym pomieszczeniu z wielkim podłużnym stołem na środku, dwoma biurkami, na których stały komputery, regałami pełnymi książek i jakichś dziwnych sprzętów oraz zdjęciami ptaków wiszącymi na ścianach.

Naprzeciwko Lilly, Amy, Tima i Zacha siedziała profesor Hatcher, jej asystentka Sally i Chuck Morrison. Najpierw pani profesor wyjaśniła w kilku zdaniach istotę badań.

Dla Lilly nie było to niczym nowym; dowiedziała się już wszystkiego z e - maili. Tim również wyglądał na zorientowanego w temacie - w przeciwieństwie do Amy i Zacha. Tylko że, o ile Amy przynajmniej udawała, że wie, o czym mowa - i to tak przekonująco, że gdyby Lilly jej nie знаła, pomyślałaby, że jest ekspertką w badaniu populacji ptaków - to Zach nawet nie starał się ukryć, że wszystko, o czym słyszy, stanowi dla niego czarną magię.

- No dobrze - rzucił, kiedy doktor Hatcher skończyła. - Ale co my właściwie mamy tu robić?

Profesor Hatcher uśmiechnęła się do niego.

- Rozumiem, że nie możesz się już doczekać - powiedziała z lekką ironią ale bez cienia złośliwości głosem. - Sally i Chuck zaraz wam wszystko wytłumaczą. - Popatrzyła na zegarek.

- No, na mnie już czas. Za godzinę jestem umówiona z radnymi w Leavenworth. trzymajcie za mnie kciuki - zwróciła się do swoich współpracowników. Wzięła z biurka jakieś papiery i pospiesznie wyszła.

- Myślisz, że musimy trzymać te kciuki? - spytała Chucka Sally.

- Nie, myślę, że nie musimy. Czy zdarzyło się kiedykolwiek, żeby nie załatwiła czegoś, na czym jej zależy? Sally pokręciła głową. - Nie za moich czasów, ale ty znasz ją dłużej. - Za moich też nie.

Lilly przysłuchiwała się tej wymianie zdań. Nie wiedziała dokładnie o co chodzi, ale wierzyła, że to, co mówią jest prawdą. Profesor Hatcher, choć była drobną niepozornie wyglądającą kobietą już na pierwszy rzut oka robiła wrażenie osoby, która, jeśli postawi sobie jakiś cel, to go osiągnie.

- Chcemy poszerzyć teren badań, ale na to jest potrzebna zgoda władz okręgu - wyjaśniła Sally czwórce nowicjuszy. - Zauważyliśmy, że niedaleko, na północ od nas, jest dużo krzyżodziobów sosnowych, i chcemy je objąć badaniami.

- Czego jest dużo? - spytał Zach.

- Krzyżodziobów sosnowych - powtórzyła.

- Słyszałem, tylko nie wiem...

- To gatunek ptaka - szepnęła siedząca obok niego Lilly, obawiając się, że Zach za chwilę spyta Sally, czy krzyżodziób sosnowy, to jeszcze jeden ciapudrak.

- Aha. - Uśmiechnął się rozanielony, jakby właśnie wyznała mu dozgonną miłość. - Nie miałem pojęcia, że tych ciapudraków jest aż tyle - dodał cicho, prawie przykładając usta do ucha Lilly.

- Mogę już zaczynać czy chcecie sobie jeszcze coś poszeptać? - zapytał Chuck, uśmiechając się do nich pobłaźliwie.

- Oczywiście, że możesz - powiedziała natychmiast Lilly, odsuwając się od Zacha, jakby był nosicielem groźnej choroby.

- Nie denerwuj się - uspokoił ją Chuck. - U nas jest luz. To nie szkoła. Nie musicie się tak kryć.

Lilly popatrzyła na niego zdziwiona, w pierwszej chwili nie wiedząc, do czego zmierza.

- Ja, na przykład, nie chowam się z tym, że Sally to moja dziewczyna - ciągnął, i żeby to podkreślić, objął ją i pocałował w policzek.

- Zaraz... - zaczęła Lilly, ale kiedy zobaczyła znaczący uśmiech Amy, dziwną minę Tima i ręce Zacha, uniesione w geście zwycięstwa, spieszyła się tak bardzo, że zaczęła się jękać. - Chwileczkę... to... to nie tak...

Sally najwyraźniej dostrzegła zakłopotanie Lilly i postanowiła przyjść jej z pomocą. - No dobra, koniec żartów. Zabieramy się do pracy. - Popatrzyła na zegarek. - Za niecałe pół godziny ruszamy na obchód i do tego czasu musicie wiedzieć co i jak.



## LILLY I ZACH

Pół godziny później Lilly wraz z Chuckiem i Zachem oddalała się od obozowiska. Nie była zachwycona towarzystwem, to znaczy nie miała nic przeciwko obecności Chucka, ale Zach coraz bardziej ją irytował.

Sally po wyjaśnieniu im najważniejszych spraw - pokazaniu, jak się obrączkuje ptaki, jak odczytuje się informacje ukryte w obrączkach tych, które zostały już oznakowane, i wreszcie, jak się to wszystko notuje w laptopie - powiedziała, że muszą się podzielić na dwa zespoły.

Lilly, mimo niemych, ale gwałtownych protestów przyjaciółki, która wygrażała na migi, że ją udusi, powiedziała, że chce być z Amy. Sally uznała jednak, że to nie jest najlepszy pomysł, twierdząc, że lepiej będzie, jeśli w każdej z grup będzie chłopak i dziewczyna.

Lilly nie dopytywała się już nawet dlaczego, postanowiła skupić się raczej na tym, żeby nie trafić do jednej grupy z Zachem. Przez chwilę trwały burzliwe dyskusje, w końcu Chuck nie wytrzymał i je uciał.

- Dobra, skoro nie możecie się dogadać, to Lilly i Zach idą ze mną, a Amy i Tim z Sally - postanowił.

Lilly otworzyła usta, żeby się temu sprzeciwić, ale w końcu nic nie powiedziała. Po pierwsze, Chuck wyszedł już z pracowni, a po drugie, zauważyła, że tylko ona chce protestować. Amy i Zachowi decyzja Chucka najwyraźniej się spodobała, a Tim, nawet jeśli miał jakieś zastrzeżenia, to raczej nie zamierzał ich zgłaszać.

Nie mogła już pierwszego dnia zachowywać się jak malkontentka, w związku z czym teraz szła obok Chucka, a Zach podążał za nimi.

- Musimy się tak spieszyć?! - zawołał, gdy zaczęli pokonywać dosyć strome wzniesienie.

- Musimy! - odpowiedział mu Chuck.

Dopiero wówczas, gdy się odwrócili, zorientowali się, jak daleko za nimi jest Zach.

Lilly przynajmniej już wiedziała, dlaczego Sally chciała podzielić chłopaków. Każda grupa musiała brać ze sobą wysoką drabinę, która, choć aluminiowa, swoje ważyła.

Kiedy wychodzili z obozu, Zach odrzucił propozycję Chucka, żeby nieść ją we dwóch.

Teraz, sądząc po jego niezadowolonym głosie, chyba tego żałował.

- Może ci jednak pomóc? - spytał Chuck, gdy Zach się z nimi zrównał.

- Nie, nie trzeba.

- Jesteś pewien?

- Jasne - odparł Zach i żeby wydać się bardziej przekonującym, uniósł wyżej drabinę, jakby była lekka niczym piórko.

- W porządku - rzekł Chuck. - Wiesz, co robisz.

- Pewnie.

- Chyba jednak nie wie - powiedział Chuck, kiedy po paru minutach, przy kolejnym wzniesieniu, chłopak znów pozostał kilkadziesiąt metrów z tyłu. - Ale bardzo się stara. Robi, co może, żeby ci zaimponować. - Popatrzył na Lilly i się uśmiechnął.

- Co?!

- No i gdzie są te ciapudraki?! - zawołał z dołu Zach.

- Jezu - westchnęła. - Jeśli jeszcze raz usłyszę coś o tych „ciapudrakach”, to go zamorduję.

Chuck, który zaczął schodzić w dół, żeby jednak pomóc Zachowi nieść drabinę, zatrzymał się i odwrócił.

- Dziewczyny to jednak strasznie niewdzięczne stworzenia - zauważył filozoficznie. - Zupełnie nie potrafią docenić starań chłopców.

We dwóch niosło się drabinę znacznie łatwiej, dzięki czemu cała trójka mogła, iść znacznie szybciej i wkrótce dotarli do celu.

Wokół całego terenu objętego badaniami była rozpostarta i przymocowana do drzew wysoka na cztery metry, gęsta siatka - tak delikatna i niemal przezroczysta, że dla ptaków zupełnie niewidoczna. Wpadały na nią w locie i same nie były w stanie się wyswobodzić.

Dwa razy dziennie - rano i po południu - trzeba było obchodzić cały teren, wyplątywać je z siatki i przed wypuszczeniem na wolność sprawdzać, czy zostały zaobrączkowane. Jeśli były, odczytywało się z obrączki numer i odnotowywało w laptopie wraz z datą i miejscem, gdzie wpadły w swoją czasową niewolę.. Jeśli ptak nie był jeszcze oznakowany, trzeba mu było za pomocą specjalnego przyrządu, którego działanie objaśniła Sally w pracowni, włożyć na nogę obrączkę.

Siatka rozpostarta była w ten sposób, że tworzyła okrąg o prawie szesnastokilometrowym obwodzie. Kiedy na obchód wyruszały dwie grupy, każda miała do pokonania ośmiokilometrowy odcinek, nie licząc drogi od i do obozowiska.

- Jest siatka - oznajmił Chuck.

- No, wreszcie - rzucił Zach i oddychając z ulgą, opuścił na ziemię swój koniec drabiny.

- Hej, nie ma czasu na odpoczynek. Idziemy dalej - powiedział Chuck i kiedy tylko niekryjący rozczarowania Zach podniósł drabinę, ruszył wzdłuż siatki. - Teraz uważnie patrzeć, żeby nie przegapić jakiegoś ptaka. Gdyby zaplątał się zaraz po rannym obchodzie, mógłby nie przeżyć do rana. Generalnie chodzi o to, żeby uwalniać je najszybciej jak się da - ciągnął. - Kiedy byłem studentem, brałem udział w podobnym projekcie na Wschodnim Wybrzeżu. Tam robili obchód tylko raz dziennie i zdarzało się, że znajdowało się w siatce martwe ptaki. My tutaj jeszcze nigdy nie mieliśmy takiego przypadku. W końcu nasze badania mają służyć temu, żeby chronić ptaki, a nie żeby je męczyć. Mamy je ratować, nie zabijać.

- O, jest ciapudrak! - zawołał nagle Zach.

Lilly wbiła w niego mordercze spojrzenie, które nie umknęło uwagi Chucka.

- Spokojnie - powiedział, poklepując ją po ramieniu. - Nie słyszałaś, co przed chwilą mówiłem? Jesteśmy tu, żeby ratować, a nie żeby zabijać.

Zach stał zdezorientowany. Nic dziwnego. Kiedy jako pierwszy dojrzał uwięzionego ptaka, czuł się przez chwilę jak bohater, ale zaraz potem Lilly popatrzyła na niego i w jej spojrzeniu było coś, czego nie potrafił określić. Co do jednego miał jednak pewność - nie był to podziw.

A teraz jeszcze Chuck mówił do niej tak, jakby chodziło mu o coś innego niż to, co powiedział. Coś tu było nie tak. Tylko co?!

Wciąż się nad tym głowił, kiedy przytrzymał drabinę, na którą wspinał się Chuck, żeby uwolnić ptaka, zaplątanego w siatkę ponad trzy metry nad ziemią.

Lilly odłożyła na później plany związane z zamordowaniem Zacha. Całą uwagę skupiła na poczynaniach Chucka, który bardzo sprawnie - nie zajęło mu to więcej niż dziesięć sekund - oswobodził uwięzionego ptaka i ostrożnie zszedł na dół.

Kiedy wyciągnął do niej dłoń, w której trzymał stworzenie, cofnęła się o krok.

- Nie bój się - powiedział. - On nie ma jeszcze obrączki. Masz szansę nauczyć się obrączkować. Pokręciła głową.

- To naprawdę nie jest takie trudne, uwierz mi - zachęcił ją.

Bardzo powoli wyciągnęła rękę i dotknęła szamoczącego się ptaka. Chuck puścił go dopiero wtedy, kiedy był pewien, że Lilly trzyma na tyle pewnie, że jej nie ucieknie.

- Drozd - powiedziała.

Ptak był cały pokryty jasnymi plamkami w kształcie półksiężyców, tylko na dole skrzydeł ciągnęły się czarnobiałe pasy. Nie miała najmniejszych problemów z rozpoznaniem gatunku.

- Drozd pstry - uściśliła. Kiedy poczuła pod palcami szybko bijące serduszko tej płochliwej istoty, miała wrażenie, że jej serce też zaczęło bić szybciej. To było cudowne uczucie.

Uśmiechnęła się najpierw do Chucka, a potem do Zacha i nie pamiętała już o tym, że jeszcze przed chwilą chciała go zamordować.

## AMY I TIM

Tim szedł kilka kroków za Amy i Sally. Dziewczęta przez całą drogę paplały, a on, choć Amy kilkakrotnie odwracała się i próbowała go zagadnąć, nie miał ochoty włączyć się do rozmowy. I to nie tylko dlatego, że drabina, którą niósł, nie była najlżejsza. Bardziej niż ona ciążyły mu myśli, które nieustannie krążyły wokół Lilly i Zacha;

Nie miał nic przeciwko towarzystwu Amy, ale kiedy w obozowisku rozstawali się i każda z grup ruszała w inną stronę lasu, poczuł nagle, że wiele by dał, żeby się znaleźć na miejscu przyjaciela. Wciąż miał przed oczami wyraz jego twarzy, go Chuck zdecydował, że i Zach i Lilly będą w tym samym zespole.

Tima okropnie zdenerwował jego triumfujący uśmiech. Po raz drugi tego dnia przemknęło mu przez głowę, że miałby ochotę mu przyłożyć, zwłaszcza, kiedy przypominał sobie, jak Lilly w pracowni szeptała mu coś na ucho. Złościło go to, naprawdę go złościło, ale najbardziej złościło go to, że go to złości.

I co z tego, że Lilly powiedziała Zachowi coś na ucho. Nie powinno go to w ogóle obchodzić. I nie powinni powinno go obchodzić, co takiego mu szeptała. A jednak obchodziło, i to bardzo.

## LILLY I ZACH

Pierwsza wróciła grupa Chucka. Kiedy dotarła do obozowiska, słońce chowało się już za zalesionym wzniesieniem. Właśnie zamierzali wejść do pracowni, żeby wgrać zebrane dzisiaj dane z laptopa do stacjonarnego komputera, gdy usłyszeli nadjeżdżający samochód. - Zaczekajcie chwilę - powiedział Chuck. - To pewnie profesor Hatcher. Ciekawe, jak jej poszło. Po chwili na polanę wjechał terenowy wóz, drzwi od strony kierowcy otworzyły się i wysiadł Marc Stiller, który towarzyszył pani profesor w Leavenworth. - I jak poszło? - zapytał ich Chuck. - Zgodzili się?

- A jak myślisz? - rzucił Marc Stiller. - Znasz kogoś, kto miałby odwagę przeciwstawić się naszej szefowej?

- Ja bym się bał - odparł Chuck, uśmiechając się do profesor Hatcher. - No więc radni w Leavenworth też się bali - powiedział Marc Stiller. - To znaczy, że dali pozwolenie?

- Spróbowałiby nie dać. - Marc Stiller wskazał ruchem głowy starszą panią która właśnie 'wysiadła z samochodu. Wzięła z siedzenia grubą teczkę z dokumentami, odwróciła się i przybierając srogi wyraz twarzy, zmierzyła wzrokiem obu współpracowników. - Jeśli myślicie, moi drodzy, że nie słyszę, co o mnie mówicie za moimi plecami, to pragnę was zapewnić, że bardzo się mylicie.

- Ależ, pani profesor! My mielibyśmy mówić coś za pani plecami?! - powiedział Chuck z jawnie udawaną galanterią.

- Nie odważylibyśmy się - rzekł Marc Stiller, puszczając oko do kolegi.

Lilly przysłuchiwała się tej wymianie zdań. Podobała jej się atmosfera panująca w obozowisku. Nie było w niej nic ze sztywności i powagi, jakiej spodziewała się wśród naukowców. Chociaż do swoich badań podchodzili niezwykle poważnie. - I jak nasi młodzi ornitologowie? - spytała profesor Hatcher, patrząc na Lilly i Zacha. - Świetnie - pochwalił ich Chuck. - Lilly bez pudła rozpoznaje wszystkie gatunki. Potrafi nawet po barwie upierzenia odróżnić samca od samicy.

- Brawo - powiedziała profesor Hatcher.

- Poza tym - ciągnął - sama włożyła obrączki trzem ptakom.

Szefowa z uznaniem pokiwała głową.

- A on... - Chuck uśmiechnął się do Zacha, który krzywiąc się, drapał się po policzku. - Ma jeszcze pewna problemy z rozpoznawaniem ciapudraków, ale za to jak nosi drabinę! I jak ją podtrzymuje!

- Z rozpoznawaniem czego? - zapytała.

- Ciapudraków - odparł Chuck zupełnie poważnym tonem.

Profesor Hatcher pokręciła głową, wciąż nie rozumiejąc.

- Oj, pani profesor, wstydziłaby się pani - powiedział Chuck, spoglądając na nią z udawanym oburzeniem. - Co z pani za ornitolog, skoro pani nie wie, co to są ciapudraki?

- Boże - westchnęła, wzruszając ramionami. Zerknęła na Lilly, która na wzmiankę o ciapudrakach cała się spięła. - Widzisz sama, z kim ja muszę współpracować. Wyglądasz na jedyną poważną osobę w tej trupie wesołków.

Rzeczywiście, ona jedna miała poważną twarz. Chuck i Marc stroili zabawne miny. Zach uśmiechał się, wyraźnie dumny, że te jego ciapudraki robią taką furorę.

A kilka minut później pękał wprost z dumy, kiedy Marc i Chuck zdjęli drewnianą tabliczkę przybitą do drzewa stojącego przy wjeździe do obozowiska, starli napis „Ośrodek badań nad populacjami ptaków” i zastąpili go nowym:

OŚRODEK BADAŃ NAD POPULACJAMI CIAPUDRAKÓW

## TIM I AMY

Tim nie dostrzegł wcześniej drewnianej tabliczki przybitej do pnia drzewa. Opuszczając obozowisko, w ogóle nie zauważył, że tam była, a teraz, kiedy wrócili, nie zwróciliby na nią uwagi, gdyby Sally się nie zatrzymała.

- Ośrodek badań nad populacjami ciapudraków - przeczytała. Dotknęła tabliczki, która nie zdążyła wyschnąć. - Jeszcze mokre - powiedziała, unosząc zaplamiony na czerwono palec. Timowi w pierwszej chwili przyszło do głowy, że napisał to Zach, samowolnie, bez niczyjej wiedzy. Potem uznał jednak, że to niemożliwe. Zach miał różne, mniej albo bardziej głupie pomysły, ale na pomysłach zawsze się kończyło. Nigdy ich nie realizował.

- Ciapudraki - przeczytała jeszcze raz Sally i zaczęła się śmiać. - Co im przyszło do głowy? I skąd oni wzięli te ciapudraki? Amy również się roześmiała. Tylko Timowi nie było do śmiechu. Doskonale wiedział, skąd się wzięły te ciapudraki. Jego najlepszy przyjaciel zdążył już wszystkich w obozowisku oczarować i zarazie swoim poczuciem humoru. Tim nie miałby nic przeciw temu, gdyby wśród tych „wszystkich” nie było drobnej dziewczyny o kasztanowych włosach i twarzy w kształcie serca.



## LILLY, AMY, TIM I ZACH

Kolacja w obozowisku nie była zwykłym wieczornym posiłkiem. Samo jedzenie wydawało się tylko pretekstem do tego, by wspólnie posiedzieć, porozmawiać o wynikach badań, wymienić uwagi, opowiedzieć o wydarzeniach dnia i wreszcie pożartować.

Jadalnia, która w ciągu dnia była ponurym pomieszczeniem, teraz, gdy siedziało tu osiem osób, wydawała się zupełnie przytulna, zwłaszcza kiedy Marc Stiller rozpałił ogień w kominku. Już dawno skończyli jeść, zanieśli naczynia do kuchni i pozmywali, a teraz rozmawiali.

Lilly, która miała na sobie dość cienką bluzkę, poczuła chłód. Zastanawiała się, czy nie pobeć do pokoju i nie włożyć czegoś cieplejszego, ale w końcu, idąc za przykładem Sally i Chucka, przysunęła swoje krzesło do kominka i od razu zrobiło jej się przyjemniej. To znaczy z pewnością zrobiłoby się jej przyjemniej, gdyby Zach natychmiast nie poszedł w jej ślady i nie usiadł tuż przy niej. Powoli rodziło się w niej podejrzenie, że ten chłopak ją prześladowuje.

Gdziekolwiek się ruszyła, kilka sekund później był przy niej. Zaczynało ją to naprawdę denerwować i małe pocieszenie stanowił dla niej fakt, że Zach nie był jedyną osobą w obozowisku, która kogoś prześladowała. Jeśli o to chodzi, Amy mogłaby z nim iść w zawody w nie odstępowała Tima nawet na krok. Lilly obserwowała jej poczynania z coraz większym niesmakiem. Zawsze trochę zazdrościła przyjaciółce swobody, jaką wykazywała w kontaktach z chłopakami. Ale też Amy dotąd nie przekraczała pewnych granic. Lilly nigdy, na przykład, nie widziała, żeby narzucała się jakiemuś chłopcu.

Aż do dziś. Choćby teraz. Siedziała tak blisko Tima, że równie dobrze mogłaby mu usiąść na kolanach. Szczebotała coś do niego i robiła tak słodkie minki jak Miranda Taylor, która wygrała wprawdzie w plebiscycie na najładniejszą dziewczynę w szkole, ale nikt nie miał wątpliwości, że gdyby ogłoszono plebiscyt na najgłupszą, to również zostałaby zwyciężczynią.

Powiem jej to, pomyślała Lilly. Powiem jej, że coraz bardziej przypomina Mirandę Taylor.

Bardziej jednak niż zachowanie przyjaciółki denerwowało ją to, że chłopak, któremu Amy się narzucała, wcale nie był z tego niezadowolony. Niezadowoleni ludzie raczej nie uśmiechają się tak, jak on to zrobił, gdy Amy szepnęła mu coś do ucha. Lilly postanowiła nie zwracać na nich uwagi i zaczęła się przysłuchiwać rozmowie profesor Hatcher z jej

współpracownikami.

Rozmowa dotyczyła rozszerzenia obszaru badań.

Minęło zaledwie kilka godzin od chwili, gdy władze okręgu udzieliły pozwolenia, a energiczna pani profesor już zdążyła zamówić sześć tysięcy metrów siatki na ogrodzenie dodatkowego terenu.

- Jeśli wszystko dobrze pójdzie, pojutrze powinni ją dostarczyć - oznajmiła. - Tylko kto się zajmie jej zawieszaniem?

- Pod koniec przyszłego tygodnia przyjeżdża troje studentów, więc będą dodatkowe ręce do pracy - zauważył Chuck.

- Mamy czekać ponad tydzień? - obruszyła się profesor Hatcher.

- A mamy inne wyjście? - rzuciła Sally. - Kto będzie sprawdzał stare siatki, jeśli zajmiemy się zawieszaniem nowych?

- Możemy utworzyć trzy zespoły - zaproponował Marc. - Nie licząc pani profesor - rozejrzał się po jadalni - jest nas siedmioro. Dwa po dwie osoby będą chodziły sprawdzać stare siatki, a pozostała trójka zajmie się zawieszaniem nowych. Trzeba tylko jakoś rozsądnie podzielić się na grupy.

- No to ustalcie to między sobą. - Pani profesor podniosła się z krzesła. - Mówią, że starsi ludzie potrzebują mniej snu, ale to nieprawda - dodała, idąc do drzwi. - Mnie w każdym razie oczy już się zamykają. - Dobranoc - powiedziała, odwracając się w progu.

- Dobranoc, pani profesor - odpowiedzieli wszyscy zgodnym chórem.

- To ja chyba też jestem starym człowiekiem - rzekł Marc, gdy z głośnym skrzypieniem zamknęły się za nią drzwi. - Bo mnie też zamykają się oczy. - Wstał, ziewając.

- Nie ustalimy, kto będzie zawieszał, a kto sprawdzał siatki? - zatrzymała go Sally.

- Przecież te nowe dostarczą dopiero pojutrze. Będziemy mieli czas jutro, żeby się nad tym zastano wić. - Spijcie dobrze, moje ciapudraki.

- Masz rację - przyznała Sally. Kiedy Marc wyszedł, spojrzała na pozostałych. - To co, ciapudraki, my też się chyba zbieramy? Jutro już nie pośpicie tak jak dzisiaj. Pamiętajcie, że o szóstej jesteście już umyć, ubrani, po śniadaniu, jednym słowem, gotowi do wymarszu? Lilly przestała się złościć na te ciapudraki. Musiała się do nich przyzwyczaić. To słowo w ciągu ostatnich paru godzin zadomowiło się w obozowisku i, jak to bywa z każdym nowym powiedzonkiem, które dopiero co weszło do języka, było powtarzane przy każdej okazji.

Jedyne, co mogła, to obiecać sobie, że z jej ust na pewno nigdy nie padnie. I właśnie to zrobiła.

Wychodząc z jadalni, żałowała trochę, że już dziś nie ustalono, kto z kim będzie w

zespole.

Ale kiedy popatrzyła na swoją przyjaciółkę, idącą obok Tima, pomyślała, że to i tak jest już przesądzone. Amy zrobi wszystko, żeby być razem z nim.

- Cholera - zakląła głośno, potykając się na wystającym korzeniu, którego nie zauważyła, choć księżyc znajdował się w pełni i noc była wyjątkowo jasna. Amy z Timem szli z przodu.

Właśnie nachylił się nad nią i coś jej mówił. - Uważaj - ostrzegł ją Zach.

Za późno, tym razem nie dostrzegła dołka w ziemi i wpadła w niego jedną nogą.

Nie lubiła kłąć i prawie nigdy jej się to nie zdarzało, teraz jednak poczuła, że ma ochotę nadrobić zaległości.

- Cholera! Cholera! Cholera!

- Tylko to potrafisz? - spytał Zach ze śmiechem.

- Co? Nie wiem, o co ci chodzi.

- No o to, że jeśli byś znała jakieś mocniejsze słowa, to może by ci ulżyło, gdybyś powiedziała raz. Nie musiałabyś powtarzać aż trzy razy.

- Przepraszam.

- Nie ma za co.

- Idziecie czy nie?! - zawołała Amy, zatrzymując się wraz z Timem przed wejściem do chaty, w której mieściły się ich sypialnie.

- Idziemy - odpowiedziała Lilly. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że przewróciłaby się, gdyby Zach w ostatniej chwili jej nie chwycił. Wciąż trzymał ją za ramię. - Dzięki – zwróciła się do niego. - Gdyby nie ty, zaliczyłabym glebę.

Jeżu, pomyślała, co za język? „Zaliczyłabym glebę!”. Jeszcze kilka dni w towarzystwie tego chłopaka, a zacznę mówić tak jak on. A wszystko wskazywało na to, że nie będzie jej łatwo się go pozbyć.

Nawet teraz, kiedy ruszyli w stronę chaty, wciąż ją trzymał. Musiała prawą ręką - lekko, ale zdecydowanie - zdjąć jego dłoń ze swojego ramienia.

## LILLY I AMY

Jestem pierwsza! - zawołała Amy, dopadając drzwi łazienki w ich malutkiej sypialni.

- Ach, chodzi ci o ciepłą wodę pod prysznicem? - domyśliła się Lilly, ale z pewnym opóźnieniem.

Amy dopiero po chwili zauważyła, że jej przyjaciółka nie jest w najlepszym nastroju.

- Jeśli chcesz, to mogę poczekać - zaproponowała, odsuwając się od drzwi. - Wejdz pierwsza.

- Nie, coś ty.

- Naprawdę możesz się umyć pierwsza.

- Amy, włącz pod ten prysznic, bo jak będziesz dłużej zwlekać, to chłopcy zużyją całą ciepłą wodę i obie pójdziemy spać brudne.

Amy stała jeszcze jakiś czas przy drzwiach i obserwowała przyjaciółkę, która, odwrócona do niej plecami, przekładała swoje rzeczy z jednej półki na drugą po to tylko, żeby po chwili położyć je z powrotem na to samo miejsce, na którym były wcześniej.

Lilly dała sobie spokój z tym bezsensownym zajęciem dopiero wtedy, gdy usłyszała szum wody w łazience. Zdjęła dzinsy i w samym T - shircie położyła się na łóżku. Po chwili poczuła nocny chłód i wsunęła się pod koc.

Kiedy dziesięć minut później Amy weszła do sypialni, jej przyjaciółka leżała odwrócona twarzą do ściany, po czubek głowy nakryta kocem.

- Lilly, możesz już iść pod prysznic. Lilly... Lilly, śpisz? - spytała Amy, zniżając głos.

Odpowiedziała jej cisza.

- No to nie będę cię budzić - szepnęła, zgasiła światło i starając się nie robić zbyt dużego hałasu, wspięła się na swoje łóżko.

Lilly nie spała ani wtedy, ani potem, gdy jej przyjaciółka kilka razy przewracała się z boku na bok, ani później, kiedy słyszała już tylko dochodzący z góry równomierny oddech, świadczący o tym, że Amy zasnęła.

Czy mogła spać, uświadomiwszy sobie, że stało się coś, o czym rozmawiały nie dalej niż wczoraj, coś, co - według niej - zdarza się tylko w filmach. Jej i Amy podobał się ten sam chłopak.

Cholera, cholera, cholera, cholera, cholera... Zach pewnie miał rację. Gdyby użyła mocniejszego słowa, może nie musiałaby go powtarzać w myślach w nieskończoność.

Dlaczego to się przytrafiło akurat im? Dlaczego właśnie jej i Amy musiał się spodobać

ten sam chłopak? Spodobać?

Po ostatnim filmie z Collinem Farrellem wyszły z kina i przez godzinę rozmawiały o tym, jaki jest fantastyczny. Z zapartym tchem śledziły rozwój romansów brytyjskiego księcia Williama. W ocenie tych dwóch - i kilku innych ze świata filmu czy muzyki – były jednomyślne. I żadnej z nich nie przeszkadzało, że tej drugiej podoba się ten sam facet. Nie tylko nie niszczyło to ich przyjaźni, ale jeszcze ją umacniało.

A teraz zdarzyło się coś, co mogło ją zburzyć. Gdyby Tim tylko jej się podobał, mogłaby bez żadnych obaw powiedzieć o tym Amy, a ona pewnie bez wahania odpowiedziałaby: „Mnie też”. I wszystko byłoby w porządku. Dalej pozostałyby przyjaciółkami.

Ale czy mogłaby powiedzieć Amy, że wczoraj, kiedy Tim położył jej rękę na ramieniu, poczuła się tak, jak jeszcze nigdy dotąd? Że za każdym razem, kiedy go widzi, z jej żołądkiem dzieją się jakieś dziwne rzeczy. Że bardzo ją to boli, kiedy ona, jej najlepsza przyjaciółką szepcze mu coś do ucha, a on się przy tym uśmiecha?

Może by i mogła, gdyby nie obawiała się, że Amy czuje dokładnie to samo co ona.

No i gdyby wylosowała kalosz, a nie te cholerne skarpety.

## TIM I ZACH

Co czytasz? - zapytał Zach, wychylając się z łóżka.

- Książkę - burknął Tim.

- To widzę, ale jaką?

Tim zamknął książkę, żeby popatrzeć na okładkę. Chwycił pierwszą z brzegu i nawet nie znał jej tytułu.

- „Cyborgi opanowują Marsa” - przeczytał.

- Dobra?

- Taka sobie.

- O czym? - Zach przechylił się tak, że teraz już cały jego tułów był poza łóżkiem. - Uważaj, bo spadniesz i rozwalisz sobie łeb - ostrzegł go Tim, chociaż od chwili gdy wrócili do pokoju, sam miał ochotę mu to zrobić. - Nie bój się, nie spadnę. No, o czym jest ta książka? - O cyborgach, które opanowują Marsa. - Aha... - Zach może nie zawsze wykazywał się umiejętnością wyczuwania sytuacji, teraz jednak zauważył. I przyjaciel chyba nie jest w nastroju do pogawędek, idę spać - oznajmił nieco urażonym tonem.

Tim skwitował to milczeniem.

- Mówiłeś coś? - odezwał się Zach po chwili. - Nie. - Wydawało mi się, że coś słyszałem.

- Mogłeś słyszeć tylko sprężyny pod twoim materacem, bo wierzysz się tak, że pobudzisz wszystkich w sąsiednich pokojach - powiedział Tim. - Przecież w naszej chacie śpią tylko Amy i Lilly. - No to obudzisz je. - Chyba jeszcze nie zasnęły.

- Zamkniesz się wreszcie i dasz mi poczytać? - Na wzmiankę o dziewczynach znowu wezbrała w nim złość. Przypomniawszy sobie, jak pół godziny wcześniej, kiedy wracali do chaty, Zach trzymał Lilly za ramię, i zazdrość, którą Tim wtedy poczuł, powróciła ze zdwojoną siłą. Jego przyjaciel raczej nie miał problemów z pozyskiwaniem względów dziewczyn. Jeśli jakaś wpadła mu w oko, zwykle jeszcze tego samego dnia był z nią umówiony na randkę. Timowi nigdy dotąd to nie przeszkadzało. Ale przecież żadna z tych dziewcząt nie podobała mu się tak jak Lilly. Na widok żadnej z nich serce i oddech nie zaczynały wariować, krew nie odpływała mu z mózgu tak, że przestawał logicznie myśleć.

Nawet teraz, kiedy nie było jej przy nim, nie myślał logicznie. Wpatrywał się w ścianę z belek i zastanawiał, czy ona śpi na górze, czy na dole. Poprzedniej nocy, kiedy przyjechali, miał okazję zajrzeć do pokoju dziewcząt i zobaczyć, że one również mają piętrowe łóżko i że

stoi przy tej samej ścianie.

Jeśli spała na dole, była tuż - tuż. Przysunął się do ściany, prawie do niej przywierając, żeby być jeszcze bliżej Lilly.

## LILLY I ZACH

Nową siatkę dostarczono szybciej, niż ktokolwiek się spodziewał. Już na drugi dzień, kiedy Lilly, Zach i Chuck wrócili z popołudniowego obchodu, na polanie stała furgonetka i terenowa toyota, za kierownicą której siedział szeryf.

Kiedy dwaj mężczyźni w kombinezonach wyjmowali z furgonetki bele siatki, szeryf otworzył okno i wystawił głowę.

- Musiałem jechać przed nimi, żeby pokazać im drogę, bo inaczej nigdy by tu nie trafili - powiedział.

- To bardzo miło z pana strony - rzekł Chuck, podchodząc do niego z wyciągniętą dłonią. - Dziękuję w imieniu profesor Hatcher i nas wszystkich.

- Nie ma za co. - Szeryf uściśnął mu dłoń, po czym spojrzął na Lilly i Zacha. - No i jak, dzieciaki, podoba wam się tutaj?

- Oczywiście - odparła grzecznie Lilly. Trudno jej było jednak wykrzesać z siebie więcej entuzjazmu. Ten dzień już zaczął się fatalnie, od kłótni z przyjaciółką, która złościła się, że nie może wziąć prysznica, bo Lilly znów zużyła całą ciepłą wodę. Amy należała raczej do pogodnych osób, które nie robią problemu z byle czego, ale dziś coś w nią wstąpiło, a na dodatek Lilly, po źle przespanej nocy, również nie była w najlepszym humorze. Skończyło się więc tym, że wyszła z pokoju, trzasnąwszy drzwiami. Przy śniadaniu i potem w czasie przerwy między porannym i popołudniowym obchodem odzywały się do siebie tylko półsłówkami, i to wyłącznie wtedy, kiedy było to konieczne.

Na szczęście Zach przestał ją wreszcie prześladować. Kiedy wraz z Chuckiem sprawdzali siatki, nie był zbyt rozmowny, wyraźnie stracił ochotę na żarty, a do Lilly nie odezwał się ani razu. Nie uszło to uwagi Chucka.

- Coś ty mu zrobiła, że jest dzisiaj taki nieszczęśliwy? - zwrócił się do Lilly, gdy Zach wspiął się na drabinę, żeby uwolnić świstunkę brunatną, która wydając z siebie przerażone „czak... czak... czak”, szamotała się tuż pod górną krawędzią siatki. - Ja? Nic - rzuciła, Chuck uśmiechnął się tajemniczo, ale ona tylko wzruszyła ramionami. Miała na głowie większe zmartwienia niż humory Zacha, Pokłóciła się z Amy i za każdym razem, gdy przypominała sobie, że ona jest teraz z Timem i prawdopodobnie gruchają sobie jak dwa gołąbki, narastała w niej coraz większa złość, co nie wróżyło dobrze ich przyjaźni. Do tego wszystkiego zdarzył się jeszcze przykry incydent. Już pod sam koniec popołudniowego obchodu wyplątali z siatki samiczkę łuskowca - pięknego ptaka o żółtozielonym ubarwieniu z dwoma białymi pasami na



skrzydłach. Nie była jeszcze oznakowana, więc Lilly, robiąc to już tak sprawnie, jakby zajmowała się tym od dawna, nałożyła jej obrączkę, a potem ostrożnie postawiła ptaka na ziemi. Niezdarnie zatrzepotał skrzydłami, ale się nie uniósł. Kiedy spróbował po raz drugi, wzleciał w powietrze na niecałe pół metra, lecz po chwili opadł na leśne poszycie. Jeszcze kilka razy podejmował rozpaczliwe próby, nie był już jednak w stanie oderwać się od ziemi. Lilly zauważyła przy tym, że podczas gdy prawe skrzydło łuskowca unosi się do lotu, lewe ledwie się porusza. - Coś jest nie tak z jego lewym skrzydłem. - Przykucnęła i patrzyła z żalem na szamoczącą się istotkę.

- Musiał je sobie uszkodzić, wpadając na siatkę - stwierdził Chuck, kucając obok Lilly. - Biedactwo - powiedziała.

- Nie martw się tak. Wyjdzie z tego - pocieszył ją. - Coś takiego zdarzyło się nam już parę razy.

- Zostawimy go tutaj? - spytała przerażona.

- Nie, coś ty! Przecież jest teraz całkiem bezbronny. Nie przeżyłby do rana, gdybyśmy go zostawili. Zabierzemy go do obozowiska. - I co potem? - dopytywała się Lilly.

- Sally się nim zajmie - odparł Chuck. - Zajmowała się już dużo gorszymi przypadkami. Miesiąc temu znaleźliśmy świstunkę grubodziobą, która miała uszkodzone oba skrzydła. Myśleliśmy, że z tego nie wyjdzie, a tym czasem kilka dni przed waszym przyjazdem wyfrunęła na wolność. Mówię ci, Sally potrafi czynić cuda. - Wy ciągnął powoli dłoń i ostrożnie, żeby jeszcze bardziej nie wystraszyć i tak już przerażonego łuskowca, wziął go do ręki. - Chcesz ją nieść do obozowiska? - zwrócił się do Lilly.

Zawahała się. Bała się, że mogłaby jeszcze bardziej uszkodzić ptaka. Chuck miał więcej doświadczenia, ale z drugiej strony, ktoś będzie musiał pomóc Zachowi w niesieniu drabiny, a ona nie miała na to specjalnie ochoty.

- Dobrze - zgodziła się, delikatnie wyjmując mu z ręki ranne stworzonko.

Przez całą drogę trzymała je przy piersi, mając nadzieję, że tam poczuje się bezpieczniej. I rzeczywiście, po jakimś czasie przestało się szamotać, a kiedy doszli do obozowiska, wydało jej się, że małe serduszko ptaka nie bije już w takim szaleńczym tempie.

Mężczyźni z firmy transportowej wyjęli z bagażówki wszystkie bele siatki, podsunęli Chuckowi jakieś kwity do podpisu i odjechali.

- No to na mnie chyba też już czas - powiedział szeryf i zapalił silnik. Jednak zanim ruszył, popatrzył na Lilly, która wciąż tuliła do piersi rannego ptaka. - A to co za ciapudrak?

- Ciapudrak? - zdziwiła się, że to nowe słówko zdążyło już dotrzeć aż do Leavenworth.

- Przeczytałem tabliczkę - wyjaśnił, wskazując na drzewo, do którego była przybita. - He, he, he - roześmiał się rubasznie. - Ciapudraki! Dobrze. - Po chwili spowaźniał i znów spojrzał na stworzonko w dłoniach Lilly. - Coś z nim nie w porządku?

- Ma uszkodzone skrzydełko - odparła. - Biedny ciapudrak - dodała, głaszcząc ptaszka po łebku.

A kilka sekund później nie mogła uwierzyć, że naprawdę to powiedziała.

## LILLY I TIM

Szeryf pożegnał się i odjechał. Kiedy umilkł warkot silnika jego toyoty, z obchodu wróciła druga grupa.

Lilly ucieszyła się, widząc Sally, i ruszyła jej naprzeciw, żeby jak najszybciej oddać jej pod opiekę łuskowca.

Nagle poczuła łomotanie własnego serca. Z lasu wyszedł Tim, który - ku jej zaskoczeniu - był sam. Amy wyłoniła się spomiędzy drzew dopiero po jakimś czasie. Czyżby zmęczyło ją umizgiwanie się do Tima i postanowiła zrobić sobie krótką przerwę? A może zrezygnowała z tego na dobre?

W Lilly rozbłysła iskierka nadziei, która sprawiła, że na chwilę zapomniała o kłótni z przyjaciółką i uśmiechnęła się do niej. Amy jednak albo tego nie zauważyła, albo zignorowała. Bez słowa minęła Lilly, kiedy ta zatrzymała się przy Sally, żeby przekazać jej ptaka, i poszła w stronę chaty, w której mieścił się ich pokój.

Tim natomiast przystanął i popatrzył na przerażone stworzenie, które, pozbawione swojego bezpiecznego schronienia przy piersi Lilly, znów zaczęło trzepotać.

- No i już dobrze, malutki - powiedziała Sally, wprawnym ruchem biorąc go do jednej ręki, a drugą głaszcząc po łebku. - Już dobrze. Zaraz się tobą zajmimy - mówiła uspokajającym głosem.

- Co mu jest? - spytał Tim.

- Coś z lewym skrzydłem - odparła Sally.

Lilly spojrzała na nią z podziwem. Ona i Chuck domyślili się tego dopiero po kilku nieudanych próbach zerwania się ptaka do lotu, a Sally wiedziała to już chwilę po tym, jak wzięła łuskowca do ręki.

- Złamane? - dopytywał się Tim.

- Mam nadzieję, że nie.

- A jeśli jest złamane? - zaniepokoiła się Lilly.

- To będziemy próbować coś z tym robić.

- Co? Przecież nie włoży się mu skrzydła w gips.

- Nie, ale są inne sposoby na unieruchomienie. - Sally pogładziła spokojniejsze już stworzenie po łebku i grzbiecie. - No chodź, malutki, zaniemiemy cię do ptasiego szpitala - powiedziała i skierowała się do chaty, w której mieściła się pracownia.

- Będziesz potrzebowała pomocy? - zapytał Tim.

- Może mi się przydać. - Popatrzyła na niego i Lilly. - Chodźcie ze mną.

Po chwili znaleźli się w niewielkim, przypominającym komórkę pomieszczeniu, przylegającym do pracowni, w którym trzy osoby ledwie mogły się pomieścić.

- Któreś z was musi mi go przytrzymać – powiedziała Sally, stawiając ptaka na drewnianym blacie.

Lilly i Tim jednocześnie wyciągnęli ręce i ich dłonie zetknęły się nad blatem. Oboje natychmiast je cofnęli. Spojrzeli na siebie niepewnie. Nie odważyli się wy ciągnąć rąk po raz drugi, obawiając się, że sytuacja się powtórzy.

- No i jak, żadne z was mi nie pomoże? - ponagliła ich Sally.

- Może jednak ty - zaproponował Tim, patrząc na Lilly. - Masz pewnie więcej wyczucia w dłoniach. Jesteś delikatniejsza. - Pomyślał, że nie powinien tego powiedzieć, i natychmiast dodał: - Wszystkie dziewczyny są delikatniejsze. - Znowu wyszło nie tak, jak powinno.

Najlepiej by było, gdyby się w ogóle nie odzywał.

Jeśli bycie zakochanym oznacza bycie idiotą, to nie, dziękuję, nie piszę się na to, postanowił.

Zaraz potem pomyślał jednak, że na takie postanowienia jest chyba za późno. Był już zakochany - w dziewczynie, którą znał zaledwie od dwóch dni! - i obawiał się, że nie będzie mu łatwo się z tego wypisać.

Chcąc dać dziewczynom większą swobodę ruchu, cofnął się kawałek od blatu, potrącając przy tym ramieniem stos książek na półce. Kilka z hukiem spadło na podłogę. Schylił się, żeby je pozbierać, a kiedy się podnosił, uderzył głową o spód blatu, i to tak mocno, że podskoczyło wszystko, co się na nim znajdowało, a przerażony ptak, którego Lilly na chwilę wypuściła z dłoni, zatrzepotał zdrowym skrzydełkiem.

- Nie wiem, czy jesteśmy delikatniejsze, ale na pewno nie zachowujemy się jak słonie w składzie porcelany - powiedziała Sally.

- Przepraszam - bąknął Tim.

- Nie szkodzi, nic takiego się nie stało. - Sally zerknęła na niego i uśmiechnęła się. - Ale odsuń się może od tego regału, zanim strącisz stamtąd moje szkielety ptaków. Bo z góry uprzedzam, że nie daruję, jeśli któremuś z nich odpadnie choćby jedna kosteczka - ciągnęła, delikatnie obmacując niesprawne skrzydło ptaka.

Tim po swoim niefortunnym zderzeniu z blatem przesunął się w kąt pomieszczenia i dopiero teraz zauważył, że za jego plecami znajduje się regał, na którym są poustawiane szkielety ptaków. Było ich kilkanaście, różnej wielkości, ale wszystkie wyglądały tak

delikatnie, że z pewnością nie przeżyłyby upadku na podłogę.

- Może lepiej stąd pójde, żeby wam nie przeszkadzać - odezwał się nieśmiało.

- Jak chcesz, ale mnie nie przeszkadzasz - odparła Sally.

Wahał się przez chwilę, czy zostać, czy odejść.

Lilly, nachylając się nad blatem, oburącz przytrzymywała łuskowca. Jej skupiona twarz wyglądała przy tym tak ładnie, że nie mógł od niej oderwać oczu. I wcale nie musiał, ponieważ uwaga dziewczyny była skierowana wyłącznie na rannego ptaka. Mógł sobie na nią patrzeć do woli, bez obawy, że go na tym złapie.

Byłby idiotą, gdyby nie skorzystał z takiej okazji.

## AMY I ZACH

Amy, dla której rano zabrakło ciepłej wody, a na zagrzanie nowej nie miała czasu, ponieważ trzeba było ruszać na obchód, postanowiła nie czekać do późnego wieczoru, tylko umyć się przed kolacją.

Długo stała pod strumieniem ciepłej wody, jakby miała nadzieję, że tym sposobem zmyje z siebie nieprzyjemne wrażenie, jakie pozostawił na niej dzisiejszy dzień. Tak się jednak nie stało. Przeciwnie, wyszła z łazienki jeszcze bardziej rozdrażniona, tyle tylko że teraz nie była już zła na Lilly, tylko na siebie. Nie mogła, sobie darować, że rano zrobiła jej awanturę, a potem się do niej nie odzywała. I jeszcze teraz, po powrocie z wieczornego obchodu, kiedy Lilly się do niej uśmiechnęła, ona - skończona idiotka! - udała, że tego nie widzi, i minęła ją jak powietrze.

Jakby to Lilly była winna, że ona, Amy, wylosowała chłopaka, z którym za nic nie mogła się dogadać, który nawet nie słuchał tego, co do niego mówiła. Kilka razy złapała Tima na tym, że przytakiwał albo się uśmiechał, podczas gdy ona była pewna, że zupełnie nie ma pojęcia, o co chodzi, i myślami jest gdzieś bardzo daleko. To z całą pewnością nie była wina Lilly, że jej trafił się chłopak znacznie bardziej kontaktowy. W końcu to nie ona wpadła na pomysł tego idiotycznego losowania, pomyślała Amy i żeby dać upust złości, kopnęła żółty kalosz, leżący w kącie pokoju od chwili, gdy upuściła go tam pierwszej nocy w obozowisku.

W tym samym momencie, gdy kalosz z głośnym plaśnięciem odbił się od ściany, rozległo się pukanie do drzwi.

Amy szybko włożyła świeżą bluzkę i przygładziła dłonią włosy, których nie zdążyła jeszcze uczesać po wysuszeniu. - Proszę! - zawołała.

Drzwi wolno się uchyliły i po chwili ukazała się w nich głowa Zacha. - Wejdz - zaprosiła go.

Chłopak zrobił dwa kroki do przodu, po czym zatrzymał się.

- Nie... nie będę ci przeszkadzał - odezwał się z zupełnie nietypową dla niego nieśmiałością. - Myślałem, że może jest u was Tim.

Amy miała wrażenie, że patrzy na nią tak, jakby coś z nią było nie w porządku.

- Nie wiesz, gdzie on może być? - zapytał.

- Nie mam pojęcia - odparła nieswoim głosem. Dziwnie się czuła, kiedy tak na nią patrzył. W końcu nie wytrzymała. - Coś jest ze mną nie tak?

- Co...? Nie, coś ty!

- No to czemu tak mi się przyglądasz?

- Twoje włosy...

No tak. Podejrzewała, że to o nie chodzi. Zawsze, kiedy suszyła je bez szczotki, opadały jej na ramiona, tworząc bezładną burzę loków.

- Pierwszy raz cię widzę z nie związanymi - powiedział Zach.

- Gdzieś mi się zapodziały wszystkie gumki.

Amy zaczęła nerwowo grzebać w wielkiej kosmetyczce. Dopiero na samym dnie znalazła to, czego szukała. Pospiesznie odgarnęła do tyłu wszystkie włosy i drżącymi dłońmi - bo on wciąż nie spuszczał z niej wzroku - próbowała je zebrać na karku.

Zach tymczasem podszedł do niej, delikatnie ujął jej ręce, opuścił na dół, po czym zanurzając obie dłonie w jej włosach, zarzucił je z powrotem na ramiona.

- Zostaw rozpuszczone - powiedział cicho. - Wiesz, jak ładnie z nimi wyglądasz?

Amy była tak zaskoczona, że nie mogła wydobyć z siebie głosu. Stała, rozciągając w obu dłoniach gumkę, aż usłyszała trzask.

- No tak - powiedziała, unosząc rozerwaną gumkę. - Wszystko wskazuje na to, że dopóki nie znajdę innej, nie mam wyjścia.

Zach cofnął się powoli aż pod drzwi. Wyglądał tak, jakby również jego zaskoczyło własne zachowanie.

- No nic - odezwał się niepewnie. - Idę poszukać Tima.

- Zach, zaczekaj chwilę - zawołała za nim. - Lilly też gdzieś zniknęła. Poszukamy ich razem.

## LILLY, AMY, TIM I ZACH

Kiedy Lilly, Sally i Tim weszli do jadalni, wszyscy pozostali byli już po kolacji. W kominku płonął ogień. Mniej więcej w tym samym miejscu, które wczoraj zajmowała Lilly, dziś siedziała Amy, a przy niej Zach.

Miała nie związane włosy i wyglądała prześlicznie. Lilly od dawna przekonywała ją, że powinna częściej nosić je rozpuszczone, ale Amy była uparta i nie słuchała rad przyjaciółki. Teraz Lilly, zupełnie zapominając o tym, że rano się pokłóciły, uśmiechnęła się do niej, a ona najpierw się zawahała, jakby się czegoś obawiała, a potem odpowiedziała uśmiechem. - No i jak tam poszło naszej siostrze miłosierdzia? - zapytał Chuck, zwracając się do Sally. - Uratowałaś kolejne stworzenie.

Lilly i Tim wciąż byli pod wrażeniem tego, z jaką wprawą i oddaniem Sally zajmowała się rannym łuskowcem. Niestety, okazało się, że ptak ma złamane skrzydło. Nastawienie go trwało chwilę, ale znacznie więcej czasu zajęło unieruchomienie go. Za pomocą kilku bandaży przytwierdziła złamane skrzydełko do tułowia. Potem zaniosiła ptaszka do klatki na tyłach chaty, naląła do poidelka świeżej wody i wsypała do środka garść karmy. Później cała trójka stała przy klatce dobre pół godziny. - No napij się - zachęcała Sally biedne przestraszone stworzonko. - No zjedz coś, ciapudraczku - prosiła Lilly, kucając. Za nią stał Tim, pochylał się tak nisko, że czuła na karku jego oddech. - Je, popatrz, je! - zawołała.

Odwróciła głowę i napotkała jego wzrok. Nie patrzył na ptaka, który coraz energiczniej dziobał ziarnka rozrzucone na dnie klatki. Patrzył prosto w jej oczy. I w tym spojrzeniu było coś tak prawdziwego, że nagle - po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna - pomyślała, że życie wcale nie jest takie złe.

A teraz w jadalni, kiedy ogień wesoło buzował w kominku, Sally opowiadała o rannym łuskowcu, a rozpromieniona Amy siedziała u boku Zacha, który co chwila spoglądał na nią, nie kryjąc zachwytu, Lilly poczuła, że życie jest piękne. Kto by się spodziewał, że ten dzień, który zaczął się tak okropnie, tak dobrze się skończy.



## LILLY, AMY, TIM I ZACH

Ale to nie był jeszcze koniec dnia.

- Musimy ustalić, kto jutro sprawdza siatki, a kto zawiesza nowe - powiedział Chuck, kiedy Sally, Lilly i Tim przynieśli sobie z kuchni jedzenie i usiedli przy stole.

- Macie pomysł, jak się podzielić? - spytał Marc. Lilly miała, przynajmniej co do jednego zespołu - ona i Tim w jednej grupie.

Tak jak Amy, która pomyślała, że nie obchodzi jej, jak się podzielią, byle ona i Zach byli razem.

To samo przyszło do głowy Timowi i Zachowi. Było im wszystko jedno, kto będzie sprawdzał stare siatki, a kto zawieszał nowe. Dla Tima liczyło się tylko to, żeby być z Lilly, a jego przyjaciel, który wciąż nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, że jeszcze wczoraj nie dostrzegł, jak wyjątkową dziewczyną jest Amy, pragnął wyłącznie tego, żeby trafić z nią do jednej grupy. Żadne z nich, oczywiście, nie wyraziło swoich życzeń na głos.

- Nikt nie ma żadnych propozycji? - zapytał Chuck, przyglądając się uważnie czwórce licealistów. - No to może zrobimy losowanie? - Co? - rzuciła Amy.

- O, nie! - Lilly zdecydowanie pokręciła głową. - Tylko nie losowanie.

- Żadnego losowania - powiedział Tim.

- Właśnie, nigdy więcej żadnych losowań - poparł go Zach.

Sally, Chuck i Marc spojrzeli na całą czwórkę, zdumieni ich jednomyślnością. Tamci jednak tego nie zauważyli, byli bowiem zaskoczeni czymś innym. Dziewczęta zastanawiały się, skąd w Timie i Zachu ta niechęć do zdawania się na ślepy traf, a oni myśleli dokładnie o tym samym - dlaczego Lilly i Amy tak gwałtownie zaprotestowały przeciwko losowaniu?

Chuck spojrzał pytająco na Sally i Marca.

- Może wy wiecie, o co w tym wszystkim chodzi? Bo ja nie.

Sally tylko wzruszyła ramionami, a Marc uśmiechnął się i powiedział z udawaną poważną miną:

- Starzejemy się. Przystajemy rozumieć młodzież.

- Pewnie masz rację - przyznał Chuck. - Ale musimy się jednak jakoś podzielić.

- Może... - Sally popatrzyła na Lilly, Amy, Tima i Zacha i z trudem powstrzymała uśmiech.

Wszyscy czworo mieli takie miny, jakby czekali na ogłoszenie wyroku. Nie minęło aż tyle czasu, od kiedy sama była w ich wieku, i to i owo jeszcze pamiętała. Poza tym była

bardziej spostrzegawcza niż Marc i Chuck i jej uwagi nie umykały ukradkowe spojrzenia, nagle uciekanie wzrokiem, niepewne uśmiechy, lekko drżące głosy, a dziś wieczorem tyle tego było, że atmosfera w jadalni zrobiła się gęsta. - No, więc może Lilly i Tim mogliby razem sprawdzać siatki?

Serce Lilly zabiło mocniej. Z trudem się powstrzymała, żeby nie podskoczyć z radości.

Pokiwała tylko głową na znak, że się zgadza.

Tim był nieco mniej powściągliwy.

- Ja bardzo chętnie - powiedział, uśmiechając się.

- Myślisz, że poradzą sobie we dwójkę? - Sally zwróciła się do Chucka.

- Lilly umie robić już wszystko, obrączkować, odczytywać dane, wstukiwać je do laptopa - odparł. - Jedyne, z czym może mieć problem, to ze wspinaniem się po drabinie, jeśli jakiś ptak zapłacze się na samej górze siatki.

- Ale z tym Tim radzi sobie bardzo dobrze - powiedziała Sally. - Świetnie, w takim razie jeden zespół już mamy. Tylko co z drugim? Amy i Zach? Poradzą sobie we dwoje? Zapadło milczenie.

Lilly poczuła niepokój. Choć od chwili, gdy Zach przestał ją prześladować, zdecydowanie bardziej go lubiła, to jednak uczciwie musiała przyznać, że przy sprawdzaniu siatek, poza noszeniem drabiny, nie przydawał się na wiele. Ani razu nie spróbował zaobrączkować ptaka, nie zapisywał też danych w laptopie. Co gorsza, znając przyjaciółkę, domyśliła się, że ta w ciągu dwóch dni nie nauczyła się zbyt wiele.

- No... - odezwał się w końcu Chuck. - Zach radzi sobie całkiem dobrze z noszeniem drabiny. A Amy? - Spojrzał pytająco na Sally, która miała ją dotąd w swojej grupie. - No więc Amy... - Sally widziała, jak dziewczyna wpatruje się w nią z wyczekiwaniem. Naprawdę bardzo chciałaby jej pomóc, ale wydawało jej się zupełnie niemożliwe, że tych dwoje poradzi sobie bez pomocy kogoś bardziej doświadczonego. - Amy to wspaniała, przemiła dziewczyna, ale... - Ja się mogę wszystkiego nauczyć - wyrwał się Zach.

- Ja też - powiedziała Amy.

- Trochę za późno - zauważył Chuck. - Musicie podzielić się jakoś inaczej - dodał, ale coś w jego głosie wskazywało, że nie mówi tego całkiem poważnie, że ma ochotę trochę się z nimi podroczyć.

Amy i Zach byli jednak tak przejęci, że tego nie zauważyli. Sally tymczasem zgromiła Chucka wzrokiem.

- Dobra - powiedziała. - Zrobimy tak. Jutro ty i Marc pójdziecie sami zawieszać

siatkę.

- We dwóch będzie trudno - rzekł Marc. - Do tego potrzebne są co najmniej trzy osoby.

- Tylko jutro. Ja rano i wieczorem pójdę z Amy i Zachem sprawdzać siatki i jeśli w tym czasie zdążą się wszystkiego nauczyć, to pojutrze do was dołączę.

- A jeśli nie? - zapytał Chuck głosem, z którego coraz wyraźniej przebijała chęć podroczenia się z tymi dziećmi, które go bawiły, ale też wzbudzały sympatię.

- Ja się nauczę - zapewnił gorliwie Zach.

- Ja też - bez wahania rzuciła Amy.

## LILLY I AMY

Ale jak ja odróżnię tę całą świstunkę brunatną od tej, grubodziobej? - spytała Amy zmartwionym głosem.

Ponad godzinę temu zgasiły światło i obie leżały w łóżkach. Lilly miała już trochę dosyć odpowiadania w kółko na te same pytania. Wolałaby teraz spać albo poleżeć sobie w ciszy i pomyśleć o Timie, oddać się marzeniom, które nie wydawały jej się już tak nierealne jak wczoraj. Amy była jednak tak przejęta, że Lilly nie mogła odmówić jej pomocy, nie okazując więc zniecierpliwienia, odpowiadała na wszystkie pytania.

- Grubodzioba jest mocniej zbudowana, ma większy łeppek, no i potężniejszy dziób.

- No tak, ale przecież jest mała szansa, żebym zobaczyła je jednocześnie i mogła porównać - zamartwiała się dalej Amy.

- To prawda - przyznała Lilly. - Ale nie przejmuj się tym aż tak bardzo. Po pierwsze, świstunek nie ma tu aż tak wiele, ja widziałam tylko jedną. A nawet jeśli ci się trafi, to jest duża szansa, że będzie zaobrączkowana. A wtedy po prostu zdejmiesz obrączkę, odczytasz numer, wstukasz do laptopa i wyświetli ci się nazwa.

- Łacińska - rzuciła Amy, głęboko wzdychając.

- Przecież już je znasz. - Przez ostatnie pół godziny Lilly przepytowała przyjaciółkę z łacińskich nazw występujących tu ptaków, ponieważ jeśli trafiał się nie oznakowany, trzeba było, oprócz numeru i kilku innych danych, wprowadzić do laptopa jego łacińską nazwę.

- Świstunka brunatna - *Phylloscopus fuscatus*... świstunka grubodzioba - *Phylloscopus schwarzi*... krzyżodziób sosnowy - *Loxia pytyopsittacus*... krzyżodziób świerkowy - *Loxia curvirostra*,.. - powtarzała Amy płynnie jak modlitwę.

- No widzisz, umiesz - powiedziała Amy, starając się dodać jej otuchy. A swoją drogą nigdy nie widziała jeszcze u swojej przyjaciółki takiej gotowości do uczenia się czegokolwiek.

- Do rana i tak wszystko zapomnę.

- Nie zapomnisz, a poza tym to tu i tak najwięcej jest modraczków i drozdów pstrych, a te są tak charakterystyczne, że nie będziesz miała problemów z ich rozpoznawaniem.

- Modraczek, *Tarsiger cyanurus* - recytowała Amy. - Samiec na górze ciemnoniebieski... Lilly?

- Tak?

- Ciemnoniebieski czy granatowy?

- Dla mnie ciemnoniebieski, ale dla ciebie to już może być granat. Nie bój się, na pewno go rozpoznasz.

- Po pomarańczowym boku? - No właśnie.

- A samicę modraczka po zielonobrazowym wierzchu i niebieskawym ogonie? - Amy, przecież ty już wszystko wiesz - powiedziała Lilly, nie mogąc się nadziwić, że przyjaciółce udało się to tak szybko zapamiętać. Ona sama spędzała długie wieczory nad leksykonem ptaków, zanim była w stanie to wszystko ogarnąć. No, ale ona nie miała wtedy takiej motywacji jak Amy. - Idź już spać. Dobranoc. - Dobranoc.

Po chwili jednak Amy znów się odezwała. - Lilly?

- Wierz mi, wszystko już umiesz.

- Nie, ja nie o tym.

- A o czym?

- Nie jesteś na mnie zła? No, wiesz, o to że rano zrobiłam ci awanturę i... i...

- I o co?

- O Zacha.

Lilly uśmiechnęła się do siebie.

- Nie, nie jestem zła, zwłaszcza o Zacha. Bo co do prysznic, to jeśli jeszcze raz wstaniesz pół godziny za późno, a potem się do mnie przyczepisz, że nie ma ciepłej wody, to dostaniesz w dziób.

## TIM I ZACH

Ale jak ona wygląda, ta Zoothera daumal - dopytywał się Zach.

- Nie możesz mówić po ludzku? - zniecierpliwiał się Tim. - Jeszcze dwie godziny temu to wszystkie były dla ciebie ciapudrakami, a teraz bełkoczesz po łacinie. To jest drozd pstry.

- Wiem, wiem, tylko jak on wygląda?

- Jak sama nazwa wskazuje, jest pstry.

- I to wszystko? - rozczarował się Zach. - Nie możesz mi go opisać dokładniej?

- Mówiłem ci, że mam jeszcze problemy z rozpoznawaniem ptaków po kształtach i kolorach.

Poznają je po dźwiękach, jakie wydają. Ale to na nic ci się nie przyda, bo te, które wpadają w siatkę, myślą tylko o tym, żeby się jak najszybciej uwolnić, a nie popisywać swoimi głosami.

- To kanał - zmartwił się Zach. - Jak ja je będę rozpoznawał?

Timowi zrobiło się go żal. A jeszcze wczoraj mniej więcej o tej samej porze, zastanawiał się, jak jego przyjaciel wyglądałby z rozkwaszonym nosem. Teraz chciał mu tylko pomóc, tym bardziej że jeszcze nigdy nie widział go tak przejętego.

- Słuchaj, nie musisz ich rozpoznawać. Wystarczy, że Amy będzie umiała to robić. A słyszałeś przecież, że Lilly obiecała jej w tym pomóc. Ty będziesz nosił drabinę, wyplątywał ptaki z siatki, nauczysz się je obrączkowe...

- No właśnie! - przerwał mu rozgorączkowany Zach. - Jak się wkłada te obrączki?

- Naprawdę nie widziałeś?

- Nie patrzyłem. Skąd miałem wiedzieć, że to mi się może przydać?

- No tak, przecież jeszcze wczoraj uganiałeś się za Lilly. - W Timie nie pozostał już ani ślad złości do przyjaciela, miał jednak ochotę trochę się z nim podroczyć. - Skąd mogłeś wiedzieć, że dzisiaj wpadnie ci w oko Amy, prawda?

- Przestań! To nie jest tak. Sam dobrze wiesz, że to wszystko przez tamto durne losowanie.

- Przypominam tylko, że było twoim pomysłem.

- I z tym wpadaniem w oko to też nie jest tak. Amy nie wpadła mi w oko. - Nie???

- Nie. To jest coś o wiele poważniejszego.

Tim słyszał już wiele razy, jak jego przyjaciel mówił, że podoba mu się ta czy tamta dziewczyna, ale z jego ust nigdy nie padło takie wyznanie jak teraz.

Tak go to zaskoczyło, że już się nie odezwał.

## LILLY I TIM

Może ci jednak pomogę z tą drabiną? - zaproponowała Lilly, kiedy po porannym obchodzie wracali do obozowiska.

- Nie, poradzę sobie - odparł Tim. - Przecież ty i tak masz obie ręce zajęte.

Rzeczywiście, w jednej niosła laptop, a w drugiej skrzynkę z urządzeniem do obrączkowania i innymi drobnymi sprzętami, które wprawdzie rzadko były używane, ale trzeba było je ze sobą nosić. Na przykład nożyce i scyzoryk, na wypadek, gdyby się okazało, że nie sposób uwolnić ptaka bez rozcinania siatki, czy nici, żeby potem z powrotem ją powiązać.

Mieli się dzisiaj czym zajmować w czasie obchodu. W siatki wplątało się więcej ptaków niż w poprzednie dwa dni, no i odpadła jedna para rąk do pracy. Mimo to nie czuli zmęczenia.

Dobrze im się razem pracowało, dobrze rozmawiało. A nawet kiedy zdarzało im się nic nie mówić, to nie były to pełne napięcia chwile, podczas których jedno i drugie gorączkowo zastanawiało się, co by tu powiedzieć, żeby przerwać ciszę.

Właśnie teraz szli w milczeniu i było im z tym dobrze. Lilly odezwała się pierwsza.

- Tim? - zagadnęła niepewnie. - Tak?

- Nie wiem, czy powinnam cię o to pytać... W jej głosie było coś takiego, że chłopak zatrzymał się i odłożył drabinę na ziemię. - Pytaj śmiało.

- Mówiłeś, że twoi rodzice się rozwiedli. - Aha. Pięć lat temu. Powiedział to tak lekko, że Amy doszła do wniosku, że należy do tych szczęściarzy, którym trafili się normalni rodzice. Tacy, co to nawet gdy się rozwodzą, myślą o swoim dziecku, a nie wyłącznie o własnych potrzebach czy zranionych ambicjach.

Ale Tim, jakby czytając jej w myślach, szybko wyprowadził ją z błędu.

- Jeśli chcesz wiedzieć, jak się wtedy czułem, to powiem ci, że okropnie.

- Kłócili się?

- Kłócili?! Prowadzili wojnę. Otwartą, podjazdową, zimną... Naprawdę można się było wtedy od nich uczyć strategii walki. Najgorsze, że w to wszystko wciągali mnie i siostrę. Ale z drugiej strony nie było w tym nic dziwnego, bo to my mieliśmy być łupem wojennym.

- Kłócili się o to, przy kim zostanieie? Tim skinął głową.

- Zazdroszczę ci tego. Naprawdę ci tego zazdroszczę. Tim spojrzał na nią, mrużąc oczy.



- Lilly, czy twoi rodzice też się rozwiedli?

- Jeszcze nie. Dopiero złożyli pozew o rozwód. I wiesz, o co się kłóca?

- O pieniądze? O dom?

- Skąd wiesz? - zdziwiła się.

- Chyba zawsze tak jest, że ludzie, kiedy się rozwodzą, kłóca się o dzieci, pieniądze, albo dom.

Niektórzy pewnie o wszystko - powiedział Tim. Próbował ją pocieszyć, pokazując, że jej sytuacja wcale nie jest taka najgorsza.

- Ale oni kłóca się odom, o rzeczy... Rozumiesz? O rzeczy! I zachowują się przy tym tak, jakby mnie nie było, jakbym w ogóle nie istniała. Dlatego powiedziałam, że ci zazdroścę.

Bo kłócili się o ciebie i o siostrę. Byliście dla nich kimś ważnym.

- Wcale nie jestem pewien, że chodziło im o nas

- A o co?

- Czy ja wiem? O to, kto wygra. O to, żeby przykopać temu drugiemu... Nie, myślę, że ja i moja siostra wtedy liczyliśmy się najmniej.

- I jak się to wszystko skończyło? Mieszkacie teraz z matką, prawda?

- W końcu się opamiętali. Przeszali nas ciągać po sądach, od jednego psychologa rodzinnego do drugiego, bo jeśli jeden wydał opinię, że powinniśmy zostać z mamą, tata natychmiast znajdował takiego, który twierdził coś zupełnie przeciwnego, i tak w kółko. To naprawdę nie było przyjemne dla dwunastoletniego chłopca.

- Wierzę ci.

- Słuchaj, Lilly, twoi też się wreszcie opamiętają.

Położyła na ziemi skrzynkę z narzędziami i laptop, uniosła dłoń do oka i udawała, że strzepuje coś z prawej powieki, ale tak naprawdę ukradkiem wytarła łzę.

- A jak nie?

- Muszą się jakoś w końcu dogadać.

- Nie wiem. Chwilami mam wrażenie, że to się już nigdy nie skończy.

Znów udała, że strzepuje coś z powieki, tym razem z lewej.

- Hej, Lilly. Nie płacz.

- Nie, nie płaczę. Sama nie wiem, po co zaczęłam z tobą o tym mówić. Nie rozmawiałam o tym z nikim, poza Amy. Wcale nie płaczę. - Przetarła szybko oczy. - Bierz tę drabinę i idziemy.

Schyliła się po laptop i skrzynkę i chciała odejść, ale zanim zdążyła zrobić choć krok,

Tim złapał ją za ramiona i odwrócił twarzą do siebie.

- Lilly... Jezu, nie mam pojęcia, jak to powiedzieć...

Z trudem przełknęła ślinę, a potem stała, długo wstrzymując oddech.

- Przecież my się ledwie znamy... Pomyślisz pewnie, że jestem kompletnie stuknięty...

Czuła, że drżą mu lekko dłonie.

- I pewnie jestem... ale...

Lilly wystraszyła się, że jeśli mu nie pomoże, to nigdy nie powie jej tego, co chciał powiedzieć. A ona bardzo chciała to usłyszeć.

- Myślisz, że się we mnie zakochałeś? - spytała, zanim zdążyła pomyśleć. Przeraziła się, że chodziło mu o coś zupełnie innego, że wyciągnęła zupełnie błędne wnioski i za chwilę zapadnie się ze wstydu pod ziemię. Ale Tim popatrzył jej w oczy i skinął głową.

- I dlatego myślisz, że jesteś stuknięty? - zażartowała, żeby nie rozplakać się ze szczęścia. - Uważasz, że tylko ktoś stuknięty może się we mnie zakochać?

- Lilly, ja mówię poważnie - zapewnił ją Tim, zupełnie niepotrzebnie, bo czuła to, widziała w jego szarozielonych oczach.

- Wiem - szepnęła. - I wiesz co? Ja chyba też jestem stuknięta.

- Czy to znaczy... Chcesz powiedzieć...? Powiedziałaś...

- Tak, właśnie to powiedziałam.

- Nie sądzisz, że powinniśmy już wracać? - spytała Lilly kilka, a może kilkanaście - bo czas przestał mieć dla nich jakiegokolwiek znaczenie - minut później.

- Masz rację, wracamy - powiedział Tim, ale nie mógł się powstrzymać, żeby nie pocałować jej jeszcze raz.

Gdzieś w oddali rozległo się melodyjne „tjildii”, przypominające dźwięki fletu.

- Słyszysz tego ciapudraba? - spytała Lilly, z trudem łapiąc oddech po długim pocałunku.

- Pinicola enucleator, a nie żaden ciapudrak. Wstydziłabyś się. Już nawet Zach wie, że łuskowiec to Pinicola enucleator. - Popatrzył na nią z udawaną pogardą i zanim ruszyli do obozowiska, przytulił ją i powiedział: - Kocham cię, Lilly.

- No, wreszcie. Już myślałam, że nigdy nie przejdzie ci to przez gardło. Ja też cię kocham, wiesz?

## EPILOG

Lilly zerknęła na zegarek, potem spojrzała do lustra, a na koniec rozejrzała się po pokoju.

Tim miał przyjść dopiero za kwadrans, a ona już od pół godziny siedziała jak na szpilkach, nie mogąc się doczekać, kiedy się pojawi. To nie było ich pierwsze spotkanie po powrocie z Gór Kaskadowych. Widzieli się już kilkanaście razy, ale zawsze na mieście, dziś po raz pierwszy miał odwiedzić ją w domu, który znowu zaczynał przypominać normalny dom. Tak jak przewidywał Tim, jej rodzice doszli w końcu do porozumienia, i to znacznie szybciej, niż się tego spodziewała.

Zaskoczyli ją, przyjeżdżając po nią razem na przystanek autobusowy. W pierwszej chwili ucieszyła się, sądząc, że się pogodzili i zrezygnowali z rozwodu, ale to by było za dużo szczęścia. Ważne jednak, że zaczęli się zachowywać jak cywilizowani ludzie; przestali na siebie krzyczyć, warczeć, syczeć i ciskać mordercze spojrzenia.

W pierwszy wieczór po powrocie zasiedli nawet wspólnie do kolacji i Lilly aż się niedobrze robiło od tych wszystkich „Czy mógłbyś mi podać sól”, „Może jeszcze karczochów”, „Ależ proszę”, „Bardzo dziękuję”, „Miło z twojej strony”. Ale nie mogła się skarżyć. W porównaniu z tym, co działo się w tym domu przed jej wyjazdem, teraz panowała tu po prostu sielanka. Ustaliliśmy z mamą - zaczął ojciec pod koniec kolacji, że będzie lepiej, jeśli będziesz mieszkać z nią. - Oczywiście, jeśli ty zaakceptujesz takie rozwiązanie. - Przerwał, czekając, aż Lilly coś powie. - Pytacie mnie o zdanie? Jak miło z waszej strony - powiedziała, nie potrafiąc się powstrzymać przed uszczypliwością. - Wreszcie przypomnieliście sobie o moim istnieniu. - Lilly, wiem, że oboje z tatą zachowywaliśmy się nie tak, jak powinniśmy - włączyła się do rozmowy matka. - Poniosły nas emocje. Dopiero kiedy wyjechałaś, uświadomiliśmy sobie, jak bardzo musi być ci ciężko. - Pochyliła się nad stołem i dotknęła dłoni córki. - Przepraszam cię, kochanie. Oboje z tatą cię przepraszamy.

Lilly zobaczyła łzy w jej oczach. Przypomniała sobie, jak Tim opowiadał, że jego rodzice przez rok ciągnęli jego i siostrę po sądach, zanim wreszcie się opamiętali. Jej matce i ojcu zajęło to mniej czasu, więc może nie byli tacy najgorsi.

- Ustaliliśmy z mamą, że jeśli ty zostaniesz z nią, to będziecie mieszkać tutaj, w tym domu - ciągnął ojciec.

- To znaczy, że ode mnie zależy, czy dom będzie twój, czy mamy? - wystraszyła się Lilly.

- Chodzi nam o to, żeby tobie było jak najlepiej. Ty jesteś dla nas najważniejsza.

Lilly wiedziała, że ojciec mówi to, co czuje, i nie mogła zapanować nad łzami.

- I nie będziesz miał do mnie pretensji, jeśli będę chciała zostać z mamą?

- Nie, skarbie, o nic nie będę miał do ciebie pretensji.

Tamta rozmowa odbyła się ponad miesiąc temu. Ojciec w tym czasie zdążył się już wyprowadzić. W domu nie było wprawdzie tak jak za dawnych dobrych czasów - bez taty zrobiło się trochę pusto - ale to był jej dom. Lubiła go. I lubiła swój przytulny pokój.

Zastanawiała się tylko, czy spodoba się Timowi. Czy nie wyda mu się zbyt dziewczynski, zbyt banalny.

Spodobał się.

- Ładnie tu masz - powiedział, kiedy po długim pocałunku na powitanie rozejrzał się. - Tylko, czemu ten żółty kalosz stoi na środku regału?

- Wy, chłopcy, macie jednak za mało wyobraźni - odparła Lilly. - Zach, na przykład, kiedy pierwszy raz przyszedł do Amy, zdziwił się, że zamiast obrazu albo plakatu powiesiła sobie nad łóżkiem parę grubych skarpet.